



# WIADOMOŚCI LITERACKIE



T Y G O D N I K

Nr. 4 (56)

Warszawa, Niedziela 25 stycznia 1925 r.

Rok II

Boy-Zeleński

## Pani Hańska-Balzakowa w świetle swoich listów

Równocześnie z „apologią” pani Hańskiej, skreśloną piórem najkompetentniejszego dziś znawcy Balzaka (patrz „Wiadomości Literackie”, nr. 2), pojawiła się część korespondencji jej samej, ogłoszona w nr. 51 „La Revue Hebdomadaire” przez



PANI HAŃSKA

jej rodzona bratanica, księżną Katarzynę Radziwiłłową, nawiasem mówiąc autorkę kilku francuskich powieści, wydanych pod pseudonimem „Une grande dame russe”. Pobudką ogłoszenia tych listów jest „obowiązek przeciwstawienia się potwarzom, które nagromadziły się dokoła jej pamięci”.

Listy te są niezmiernie interesującym dokumentem. Pisane (po francusku) z całą ufnością i prostotą do ukochanego brata, hr. Adama Rzewuskiego, rzucają nieco więcej światła na ten historyczny stosunek miłosny, niżby go mogły dać nawet same listy pani Hańskiej do Balzaka, gdybyśmy je posiadali. Jeżeli chodzi o „rehabilitację” pani Hańskiej, pomawianej często przez biografów pisarza o oschłość i niezrozumienie genialnego człowieka, który jej oddał serce, listy te przemawiają wymownie w jej obronie. Widzimy w nich kobietę pełną prostoty, kochającą i oddaną, umiejącą podziwiać bez zażenowania i pozostać wierną bez złudzeń. Zarazem listy te ujawniają nam niepospolitą inteligencję, której sąd literacki o Balzaku imponować może swą dojrzałością i zrównoważeniem. W epoce gdy większość oficjalnej krytyki francuskiej nie zdawała sobie sprawy z ogromu zjawiska, któremu na imię Balzac, gdy wciąż zbywano go epitetem „najpłodniejszego z romansopisarzy” i nie uznano godnym Akademii, pani Hańska pisze o nim, i to niejednokrotnie, bez wahania:

„To jest postać olbrzymia, która zostanie zawsze olbrzymia, i w miarę jak czas spełni swoje dzieło, świat zapomni o tych wszystkich drobnych rzeczach, które go rażą dzisiaj, a osoba pana de Balzaka ukaże się nam tam bardziej gigantyczna w miarę jak niepamięć przesłoni wszystkie te drobności, które obecnie kryją intelektualną piękność człowieka i pisarza, nieśmiertelnego pisarza!”

Mimo swego uwielbienia, ta kochająca kobieta zachowała jasność sądu, której dziś znów nieraz braknie fanatycznym balwochwalcom Balzaka, podziwiający w czambuł wszystko bez różnicy. Któżby z najszczerzejszych wielbicieli pisarza nie podpisałby się pod tym jej sądem o „Księżnej de Langeais”?

„Początek jest to wspaniałe studium życia i rozwoju społeczeństwa podnoszącego się znowa z kataklizmu, w którym omal nie zginęło. Ale poco ta scena na balu, ta groźba napiętnowania rozszarpanym żelazem, i ten posmak melodramatu wpleciony w to, co jest i powinno być zacięciem dramatem lub raczej tragedią serca? ...Pragnęłabym usunąć całą część, gdzie autor wprowadza na scenę owych słynnych „trzyznastu”, którzy ani przez chwilę nie przestają być czemś nawskroś niedorzecznym i śmiesznym. Oto co chciałyby powiedzieć panu de Balzac, gdyby to było możliwe, i jeżeli tylko ty podzielasz moją opinię o tej niezwykłej księżce, może znalazłabym odwagę potępić, gdyż wydaje mi się tak piękna mimo tych nieszczęśliwych ustępów, że to jest dla mnie prawdziwie serdeczny ból nie móc jej widzieć taką jaką powinna być, to znaczy oczyszczoną z tego, co ją nazywam rozhułaną wyobraźnią autora...”

Zadnego prawdziwego balzakisty, który nieraz przy lekturze Balzaka wściekał się i podziwiał naprzemian, nie zgorzała też takie pozorne sprzeczności, jak np. ten sąd o „Proboszczu wiejskim”.

„Pan de Balzac jest przekonany, że „Proboszcz wiejski” jest jego najpiękniejszym dziełem, w czym może się nie myli...”

„W całej książce niema, z wyjątkiem może starej Sauviat, ani jednego charakteru, któryby był prawdziwy. Nawet proboszcz, który ma być główną osobą w całym dramacie, jest zamazany. Jest zanadto święty, a równocześnie zanadto ciekawy, zanadto zajęty sprawami bliźnich; czuje cię cały czas, że własna władza i wpływ na dusze parafian ważniejsze są dlań, niż samo zbawienie tych dusz”.

Czasem jeszcze ostrzej:

„...Pogniewałam się nawet na pana de Balzac, któremu romans jego „Beatrix” wydaje się wspaniały, gdy mnie się szalenie nie podoba... Jak wszystko co pisze lub co opisuje pan de Balzac, utwór zawiera stronicę wspaniale, a nawet wzniosłość...”

„Ale gdzieśndziej: „Pan de Balzac jest niezaprzeczenie jednym z największych ludzi swego czasu, mimo wszystkich swoich błędów oraz wybrków wyobraźni, nad którą nie umie panować, i z pewnością będzie żył jako taki w historii literatury XIX w. Znać go jest zaszczytem, mieć szczęście cieszyć się jego towarzystwem jest to przywilej, którego nie można okupić zbyt drogo”.

I te słowa, świadczące o poczuciu odpowiedzialności za serce, które się jej oddało:

„...Gdybym, jakimkolwiek przypadkiem, miała złać serce tego genialnego człowieka, — popełniłabym zbrodnię, z której nic w świecie nie obmyłoby mego sumienia. A jeszcze i z innego punktu, nie trzeba zapominać, że taki człowiek należy do całego świata, i że byłoby grzechem wobec świata przeszkodzić panu de Balzac w stworzeniu nowych arcydzieł, podobnych tym, które już nam dał”.

Dzieje tego siedemnastoletniego romansu znane są dostatecznie. Zaczął się on dość lekko; spotkanie dwóch ciekawości, może i dwóch snobizmów, ale chyba i coś więcej, jakieś tajemne powinowactwo dusz i umysłów, zdecydowało o losach tych dwojga. Mimochodem wspomina pani Hańska o tym początku:

„Romans mój z panem de Balzac miał za początek ciekawość, ciekawość kobiety, która, wychowana w wysokiej atmosferze intelektualnej, musiała nagłe poddać się egzystencji, będącej pasmem niskich pospolitosci... Korespondencja moja z panem de Balzac zaczęła się, z mojej strony przynajmniej, od żartu: późniejszy rozwinięła się i przeobraziła w jedno z najpoważniejszych uczuć i jeden z najbardziej skomplikowanych problemów...”

Pani Hańska, żona człowieka niekochanego, starszego od niej o lat dwadzieścia pięć, pozwoliła Balzakowi mieć nadzieję, że kiedyś, gdy będzie wolna, odda mu swoją rękę. Czy brała to przyrzeczenie na serio? Ostatecznie, nie obowiązując ono do niczego, a dawało kochankowi tyle szczęścia, tyle siły do walki ze światem! Później, kiedy pierwszy entuzjazm miłości miał czas osłabnąć, — nie zapominajmy, że pomiędzy jednym a drugim widzeniem upłynęło raz siedem lat! — przyszły refleksje; ale zresztą kwestja wciąż nie była aktualna.

„Jestem niekiedy rada, — pisze pani Hańska do brata, — że nie potrzebuję powziąć decyzji, czy mam wyjść za człowieka, którego, jak widzę, obawiasz się za swaagra” (list ten mylnie datuje ks. Radziwiłłowa: „Pisane prawdopodobnie w r. 1848 lub 1849”, gdy z treści wynika jasno, że list ten pisany jest o kilka lat wcześniej, za życia p. Hańskiego. „Wolę nie myśleć o tem, — pisze dalej pani Hańska, — czem byłaby moja pozycja, gdyby p. Hański miał umrzeć”).

Raz po raz powtarzają się aluzje do oporu rodziny, do małych dokuczliwości, wścibstwa, komeraży, uprzedzeń. Uprzedzenia te kręca się wciąż koło jednego: różnica sfer, wychowania! Dla tych kresowych panów sama myśl o takim meżajansie, jak małżeństwo z francuskim literatem, była czemś okropnym, (przydomek de przy nazwisku Balzaka był jedynie fikcją jego wyobraźni, jak i cały rodowód sięgający Balzaców d'Entraquest). Pani Hańska daleka jest — od ta-

kich względów, mimo że i ona wrażliwa jest na pewne braki w wychowaniu wielkiego człowieka, nie tyle dla siebie, ile dlatego, że przewróciłoby jej widzieć go przedmiotem szyderstwa innych. Otóż dla tego polskiego światka Balzac, którego przyjmowały z radością najrystrykatyczniejsze domy w Paryżu, jest



WIERZCHOWNIA

przedwzrostkiem człowiekiem, który nie umie dość ładnie jeść:

„Przepowiadałeś mi zawsze, — przypominasz to sobie, — że będzie jadł nożem i nos obcierał w serwetę. Otóż, jeżeli nie dopuścił się ostatniej zbrodni, to pewna, iż stał się winny pierwszej. Oczywiście to jest przykry widok, i nieraz, kiedy widziałam jak popielnia to, co my nazywamy błędami przeciw wychowaniu, miałam pokusę upomnieć go, tak jak upomniałabym Annę w podobnym razie. Ale to wszystko, to jest „powierzchnia”. Sam człowiek ma w sobie coś, co jest o wiele więcej warte niż zle albo dobre formy: ma geniusz, który elektryzuje i przenosi w najwyższe sfery ducha, ten geniusz, który człowieka wyrwa z samego siebie, który pozwala ziszczyć i zrozumieć to, czego brakowało naszemu życiu...”

„Mimo to kocham go, bardziej może niż przypuszczasz. Listy jego są wielkim wydarzeniem mego tak samotnego życia: czekam ich, pragnę wyczytać w ich kartach cały podziw, którym są wypełnione, jestem dumna, że jestem czemś w egzystencji tego genialnego człowieka, czemś, czemś żądna kobieta nie była dla niego. Bo to jest geniusz, jeden z największych, jakich Francja wydała, i kiedy o tem myślę, wszelkie inne względy pierzchają i roztopiają się w dumie, jaka napelnia moją duszę na myśl, że zyskałam jego miłość, mimo iż tak niegodna jego. A mimo to, kiedy jesteśmy sami razem, mimowolnie widzę pewne rzeczy, uważam pewne niewłaściwości i cierpię na myśl, że i inni mogą je uważać i wyciągać z nich konkluzje. Chciałabym w takich chwilach krzyknąć na cały głos moją miłość i moją dumę, i zawstydić tych wszystkich ludzi, że nie widzą tego, co dla mnie jest tak oczywiste...”

Pan Hański umiera wreszcie. Mimo to upływa jeszcze siedem lat, zanim jego wdowa zostanie panią de Balzac. Co jest powodem zwłoki? Są różne. Car odmawia pozwolenia na małżeństwo, trzeba by się zrzec całego majątku na rzecz córki; ta córka jest jeszcze dzieckiem, trze-

ba ją wprzód zamaż wydać. Położenie finansowe Balzaka jest, przy jego fantazyjnej gospodarce, wciąż oplakane, należałoby, aby je doprowadził do ładu. Może i owe uprzedzenia rodziny opóźniły sprawę?... Ale kiedy Balzac, wyczerpany nadludzką pracą, przedwcześnie zużyty, przygnieciony kłopotami, chory,

szczerze, powiem ci, że, skoro nie możemy się pobrać przed wiosną, rada jestem, że będę tu miała pod swoim dachem przez kilka miesięcy pana de Balzac, zanim przybędę jako jego żona do Paryża. Pragnę powoli, tak aby on sam sobie nie zdawał sprawy z tego, oswoić go z naszymi zwyczajami, naszymi formami, i przygotować go do roli, jaka mu z czasem przypadnie. On pragnie, abym miała salon w Paryżu, i o ile tylko jego zdrowie pozwoli, to byłaby rzecz, którą mi się uśmiechała. Ale chcę, aby on tam grał piękną rolę, aby zajmował pierwsze miejsce, i aby nikt nie mógł mu wyrzucić, że nie umie się zachować. Chcę mu wskazać ton, jaki mu trzeba przybrać, wyleczyć go poprochu z tego snobizmu, w który popada tak często, i odwzajemnić go od ciągłego wynoszenia pod niebiosa pokrewieństw, które zawdzięcza naszemu małżeństwu. Słowem, staram się go przywieść do tego, aby był naturalny, aby błyszczał swoim talentem, geniuszem, głębką wykształceniem, nieporównanym rozumem, raczej niż żeby się popisywał lichymi przewagami majątku czy urodzenia, które ja posiadam i które są o tyle niższe od wszystkich cudownych darów, jakimi natura obdarzyła jego samego!”

Nie na wiele zdało się to „wychowanie” przy nieokielzanej żywoci charakteru i dziecięcej ekspansywności Balzaka. Oto urywek z listu pani Balzakowej, kiedy, już po ślubie, w drodze do Paryża zatrzymała się z mężem w Dreźnie:

„Chciałabym, dla wielu przyczyn, być już w Paryżu, a dla jeszcze innych przyczyn być daleko od Dreznia. Nasz pobyt tutaj nie był szczególnie przyjemny, dla mnie przynajmniej. Miałam nadzieję, iż zdołam uniknąć ciekawości kolonii polskiej, ale rzuciła się na mnie jak zgłodniały sęp, pchana swoją niezdrową ciekawością, i nie oszczędziła mi żadnej przykrości. Mój biedny kochaneczek nie nie rozumiał i szczęściem dla siebie nie dojrzał sarkazmów zawartych w rzekomych grzecznościach, któremi nas obsypało. W swoim upojeniu dał się ponieść rozlewności swego charakteru, co oczywiście wywołało ciche ale energiczne konflikty z osobami takimi, jak nasza antypatyczna księżna marszałkowska, która, kiedy jej wyraził radość, że jest z nią spokrewnionym, oraz wdzięczność za dobroć, jaką mu okazała, tak samo jak inni liczni krewni, „którzy teraz zostali moimi kuzynami”, odpowiedziała: „Och, nasze pokrewieństwo z Ewelina jest tak dalekie, że można się do niego przynajmniej, albo się go zaprzeć, jak się ma ochotę”. Nie śmiałam spojrzeć na mego ukochanego przy tych okrutnych słowach, ale na szczęście ten, w którego mierzyły jej sarkazmy, nie zauważył ich.

„A potem co mnie dręczy także, to mój brak odwagi w stosunku do męża, którego nie śmiem prosić, aby był ogólniejszy w słowach i wstrzemięźliwszy w zachowaniu. Wszystkie drobne błędy, które w innych okolicznościach przeszłyby nieopisane, obecnie są natychmiast zauważane i oczekiwane z niecierpliwością, i nieraz zdarzyło mi się słyszeć szept i uwagi bardzo dla mnie bolesne, jak naprzykład: „Ewelina mogłaby wyjść bodaj za człowieka umiejącego się ochłodzić z nożem i widełcem”.

Wciąż ten nóż i widelec! Na swoją zębę nauczyli Francuzi tych Sarmatów zachowywać się przy stole, aby teraz, dumni swą wiedzą, hańbili w jej imię największego francuskiego pisarza. Ale nie dziwię się pani Hańskiej, że odczuwa te szpileczki. Któż jak nie Balzac w swoim dziele oddał olbrzymie znaczenie tych drobnych napozór spraw w życiu ludziem!

I w Paryżu nie było lepiej; i tu dziecina próżność Balzaka nie może ukryć szczęścia posiadania tak świetnej parateki. Dawniej już upajała go myśl, że przez Mniszków ciotka jego staje się... caryca rosyjska Maryna Mniszchówna; teraz musiało mu się coś pomylić z temi ciotkami, i przybrał sobie za ciotkę Marię Leszczyńską; a pamiętajmy, że nazywał we Francji Marię Leszczyńską „swoją ciotką”, znaczyło ni mniej ni więcej tylko przyznawać się do bliskiego pokrewieństwa z kilkoma królami francuskimi... Pojmujemy męki, jakie cierpi biedna pani Ewa:

„Pan de Balzac jest czasami prawdziwym dzieckiem... pozwala swojej wyobraźni ponieść się bez hamulca, co go stawia, zarówno jak innych, w kłopotliwym położeniu. Tak naprzykład nigdy nie mogłam uzyskać nań na tyle

wpywu, aby go powstrzymał od ciągłego mówienia o biednej Marii Leszczyńskiej jako o „mojej ciocie”. Po pierwsze, nigdy nią nie była; powtóre nikt z nas, o ile wiem, nie chwalił się tem pokrewieństwem; po trzecie od tego



BALZAC

kiżki się skrecają starym arystokratom francuskim, z którymi stykamy się często, kiedy słyszą, jak się ktoś przynajmniej do tego pokrewieństwa. To mi stwarza niepotrzebnych wrogów, bo, oczywiście, to mnie posadzają, że się chępliwie moim „kuzynostwem” ze starszą linią Burbonów... Nie powinienesz wszakże sobie wyobrazić, że wszystkie te mizerie uszczupliły bodaj w najmniejszej mierze moje przywiązanie do męża. Byłaby to bardzo licha miłość, gdyby tego rodzaju rzeczy mogły na nią wpłynąć...”

Wreszcie nieublagana śmierć położyła na pisarzu swą rękę, Balzac umiera. Oto co pisze po jego śmierci pani Balzakowa do brata:

„Jedną rzecz, jaka mi została teraz w mem nieszczęściu, to oczyścić jego pamięć, spłacić długi, które nad nim wisiały, i dbać o jego matkę jak o własną. Serce moje jest złamane, ale nie żałuję niczego, i kiedy Paulina napisała mi, że mogłam sobie być oszczędzić całej tej agonii, gdybym nie wychodziła za pana de Balzac, uczulam, że pragnęłabym już nigdy w życiu nie widzieć jej na oczy. Nie, odpowiadaj, nie żałuję niczego, nie wyrzucam sobie niczego. Mało kobiet miało to szczęście, które ja miałam: być przyjaciółką, doradczynią, jedną miłością człowieka, który będzie zawsze uważany za jednego z największych pisarzy swego czasu. I mogę tylko być dumna z tej świadomości, że mam była natchnieniem, pociechą, zachętą, wówczas gdy świat drwił sobie z niego i nie chciał wierzyć w jego geniusz, i że dzięki mi, mej miłości i memu oddaniu, jego ostatnie dni na ziemi były szczęśliwe, że choć na krótko zasnął całkowitego szczęścia ziszczonych ambicji”.

I w końcu to tak proste, tak bardzo kobiece zwierzenie:

„A jak on mnie kochał! Mój Boże, jak on mnie kochał, jak on mi ufał, jak on wierzył we mnie, wierzył we mnie bardziej może niż ja w niego, bo ja niewiałam chwile zazdrości, w czasie których cierpiałam tak okrutnie, och! tak okrutnie przez myśl i obawę, że może spotkać inną kobietę, młodszą i ładniejszą ode mnie...”

Dość dziecinna rzeczą wydają mi się wszelkie „apologie”, sumaryczne potępienia lub rozgrzeszenia w procesie tak złożonym i tajemnym, jak wszelki związek dwojga serc, dwojga ludzi. Ale z każdego słowa tych listów wyciera twarz człowieka, i dlatego dobrze się stało, że je ogłoszono. Szkoda, że tylko w wyjątkach i z tak balamutną chronologią...

Jedno jeszcze wrażenie zostawiają te listy. Odbija się w nich jak gdyby jakieś prawo „mimicry”: jest w nich coś dziwnie „balzakowskiego”. Ten spłot wielkości i małostek, ten posmak gorzkiej filozofii życia i melancholij mianina, czyni z tych listów jakby jeden rozdział więcej z „Komedji ludzkiej”. Bo też i cały ten romans był rozdziałem tej „Komedji”, rozdziałem, który swe istnienie zawdzięcza twórczej wyobraźni genialnego pisarza...

Szanownym Czytelnikom, którzy do dn. 1 lutego b. r. nie odnowią prenumeraty na kw. I (zł. 6.50 w kraju, dol. 2.— zagranicą, konto czekowe w P. K. O. 85.15), dalsza ekspedycja pisma zostanie bezwzględnie wstrzymana

# Antoni Ossendowski o sobie

## Wywiad specjalny „Wiadomości Literackich”

Zastąpiłem p. Ossendowskiego w gabinecie przypominającym muzeum osobowości z bliskiego i dalekiego Wschodu, przy biurku zwałonym plikami map, stłami fotografii i notatek, stanowiących mgławicę, z której zrodzić się ma nowa książka o świeżo odbytej podróży po Afryce północnej.

Nie chcąc odrywać autora od pracy na dłuższą przystąpiłem bezpośrednio do rzeczy:

— Pragnąłbym rozpocząć rozmowę od zapytania o garść szczegółów biograficznych...

— Cóż powiedzieć panu? — Życie moje było dość burzliwe, co zdaje się być we krwi wszystkich Ossendowskich, bo już dziad Ignacy brał żywy udział w dwóch powstaniach, nad którymi, po skłonikowaniu majątku, mógł rozmyślać w cieniu „zacziszc” więzienia. Urodziłem się czterdziście sześć lat temu na Witebszczyźnie, gdzie ojciec mój był lekarzem. Kiedy miałem pięć lat, rodzice przenieśli się do Petersburga, tam ukończyłem gimnazjum klasyczne i nauki przyrodnicze na uniwersytecie, uzyskawszy złoty medal za rozprawę naukową. I tu pozwolił sobie dodać szczegół, nad którym sam się nieraz zastanawiałem, jakby nad gestem przeznaczenia nad moim losem publicysty. Niech sobie pan wyobrazi, że praca ta o współczesnych teoriach fermentacji — pojawiła się jednocześnie w poważnym piśmie naukowym i w miesięczniku poświęconym beletrystyce.

— Jest to wypadek istotnie zadziwiający. Czemu go pan tłumaczy?

— Nie wiem, być może pewną zdolnością popularyzowania wiedzy. Ale idźmy dalej. Jako student dwukrotnie wędrowałem do więzienia za „rewolucję”. Po skończeniu uniwersytetu byłem delegowany do Paryża, gdzie pracowałem u profesorów Berthelot i Troost.

Po tych słowach p. Ossendowski wyjmując z biurka dyplom francuskiego ministerstwa oświecenia z nominacją na „officier d'Académie”, daną „A. M. A. F. Ossendowski, docteur ès sciences”.

— Oto paryski dorobek, po którym zaczyna się właściwy kalejdoskop mojego życia: docenienia chemii na politechnice tomskiej, szereg podróży po Syberji, aż do morza Berynga, służba w wojnie rosyjsko-japońskiej w charakterze eksperta przemysłu wojennego, prezydentura pierwszego rządu rewolucyjnego na Dalekim Wschodzie w r. 1905 pod hasłem „Dolaj wojennej polozhenie w Polsce i Finlandji”, upadek rewolucji, uwięzienie, wyrok śmierci, ratunek zawdzięczony Wittemu, dwa lata więzienia, wolność, za nieprawomysłowość przesładowania rządu w formie uniemożliwienia wykładow w wyższych uczelniach, dziennikarstwo jako środek utrzymania, dalsze wykłady na wolnej wszechnicy i kursach robotniczych, wreszcie rewolucja bolszewicka, ucieczka na Syberję, udział w walkach z bolszewikami, profesura w politechnice omskiej, upadek rządu Kołczaka, w końcu, oburzająca p. Sven Hedin, ucieczka przez Azję Środkową, ratunek w Chinach, podóże po Japonji i Ameryce północnej, praca na konferencji waszyngtońskiej, narodziny „Beasts, Men and Gods” i powrót na ojczyznę Iono...

— Powróć odyszał A ostatnie lata?

— Zaprowadzając dalsze obroty kalejdoskopu. Wiele radości z powrotu, uznanie zagranicą za nową serię książek, pochlebne zaproszenia zagranicę, nieoczekiwany wir namiętnych napaści w kraju na moją pracę i na moją skromną osobę, dwie podróże po nowej Europie i Afryce północnej, ataki grubej Berty p. Sven Hedin i kawalera orderu „Gwiazdy Etiopji”, p. G. Montandon, skwapliwie i bezkrytycznie wzmożone na tyłach polskich, na których w tym wypadku, zdawało mi się, że mogę polegać...

— Mówi to Pan z gorzycą?

— Tak, panie, bo to jedno zabija we mnie radość pracy we własnym kraju. To poczucie lekkomyślności a tak niezastępowalnego wyrządzenia krzywdy. Przeszedłem bardzo sumiennie wszystkie stawiane mi przez pewną grupę krytyków polskich zarzuty. Muszę otwarcie wyznać, że nie mogę o nich myśleć inaczej jak z politowaniem.

— Więc dlaczego się pan nie broni?

— Czy sądzi pan, że nie ubliżyłbym swej własnej godności, gdybym się miał wywyższać z mojej polskości lub tytułów naukowych? Czy też może miałem przędziny a „uczonych” krytyków zaznajamiając z elementarnymi wiadomościami w zakresie nauk przyrodniczych?

— Był jednak szereg konkretnych zarzutów:

— Owszem, znam je wszystkie. Możemy o nich mówić. Proszę, niech pan pyta.

— Więc jeśli pan pozwoli, to może najprzód przejdziemy do zarzutów o charakterze osobistym. Zapewniam pana, że nie z chęci grzebania w sprawach prywatnych pana będę się powtarzał. Chciałbym tylko, aby „Wiadomości Literackie” by pierwszym piśmie, któreby dało panu, bądź co bądź człowiekowi u nas nowemu, pełną możność obrony. Zarzucano panu, że ukrywał się pan ze swoją polskością w Rosji.

— Mój paniel prawie cały polski Petersburg jest w Warszawie i ten wie, że przez długi czas byłem redaktorem jednego polskiego dziennika w Petersburgu i członkiem wszystkich polskich instytucji. Na Syberji przy Kołczaku pracowałem bezinteresownie w polskiej misji wojenno-dyplomatycznej, w Mongolji właśnie swojej polskości zawdzięczałem względy tamtejszych przywódców i pewne zgoda niespodziewane przywileje. A jeżeli inny znów krytyk usiłuje mnie pozbawić prawa przemawiania w Polsce,

ponieważ przybyłem z „Irkucka”, to może pan mi wierzyć, że drogę moją z Irkucka do Warszawy, jak tyłu innych wygnawców polskich, znały krwią i więzieniem.

— Pracował pan jednak w Petersburgu, także w dziennikarstwie rosyjskim?

— Prawda. Pracowałem w „Birzecznych Wiedomościach”, a potem w „Wieczernim Wremieni” (nie „Nowom Wremieni”), w których podejmowałem m. in. sprawę polską, porozumiewając się z polskimi do Dumy, Boć dla mnie, Polaka w rdzennej Rosji. — Koło Polskie było wtedy uosobieniem polskości.

— Niektórzy z przeciwników pana zapytywali, gdzie i na jakich katedrach był pan profesorem?

— Już wspominałem, że byłem docentem chemii politechniki tomskiej i profesorem chemii i geografii ekonomicznej na politechnice omskiej. O tem oczywiście mogli moi krytycy nie wiedzieć. Co do Warszawy jednak, to czyż tak trudno było zająć do ministerstwa oświecenia, lub zapytać jednego z tysięcy bezmała moich słuchaczy i dowiedzieć się, że wykladałem geografję ekonomiczną i polityczną w Wyższej Szkole Handlowej, Wyższej Szkole Wojennej i w Szkole Nauk Politycznych.

— Tu p. Ossendowski się uśmiechnął.

— Powstała już o mnie cała literatura polska na temat: uczonego czy literata? Mówię „polska”, bo w żadnym innym z piętnastu krajów, w których ukazał się do tychczas moje książki, nie wykrył ten tak niesamowity problemat. I tu, zdaje się, leży źródło zła. Ludzie bowiem złej woli nie chcą — a może nie mogą naprawdę — zrozumieć, że literat, będący z zawodu przyrodnikiem, może w swych utworach czysto literackich podawać zaobserwowane fakty ściśle naukowe, które krytycy nie posiadającym tych samych kwalifikacyj mogą się wydać przygodami z „nieprawdziwego zdarzenia” lub wręcz „cudami”.

— A jakie prace ściśle naukowe ma pan w swoim dorobku?

— Mam ich około 50. Jedną z nich („O węglu kamiennym Dalekiego Wschodu”) została nagrodzona przez Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne i przełożona na język angielski. Druga — „O badaniach surowców azjatyckich” — zakupił rząd rosyjski. Inne prace były z zakresu chemii technicznej (niektóre drukowane w „Chemiku Polskim”) oraz z geografji przemysłowo-handlowej.

— A więc deklaracja w jednym z pism poznańskich podpisana trzema nazwiskami, że „imie prof. Antoniego Ossendowskiego nie jest znane nauce geografji”, jest nieuzasadniona?

— Niech pan sam osądzi. Mógłbym dowiedzieć swego udziału w naukowej literaturze geograficznej rosyjskiej, amerykańskiej i japońskiej, — oczywiście nie w zakresie szkół średnich, — lecz przyznam się, że znów tak bardzo nie zależy mi na kontrasygnowaniu patentu u geografa przez tych panów, którzy widocznie rozporządzają w Poznaniu całą światową literaturą naukową geograficzną, skoro od czasu narodzin owego problematu „uczony czy literat” zdążyli ją całą przestudować i podpisać swemi stwierdzeniami i istnieniem i faktu mojego w niej udziału.

— Pozwoli pan, że przejdziemy teraz do poszczególnych zarzutów nieścisłości naukowych stawianych panu. Więc np. co z tym wędrującym szczupakiem?

— Proszę pana! Ostatecznie nie miałbym pretensji, gdyby mi zarzucano, że tego wódcę nie widziałem, chociaż nie wiem, czy ktokolwiek prócz tych, którzy w danej chwili byli przy mnie, może w tej sprawie cokolwiek powiedzieć. Ale chodzi przecież o wyjaśnienie tego zjawiska przyrody. Więc niech o rybach chodzących po stałym lądzie, ba! o rybach wspinających się na drzewa, mówią specjaliści. Znajdź pan wszystko się się tyczy tej kwestji u uczonych ichiologów tej miary, co Briège, Boulenger, Day, Dobson. Mógłbym panu podać jeszcze z tuzn nazwisk ichiologów francuskich i niemieckich.

— Jeden z krytyków twierdzi, że nie mógł pan widzieć węzła „boa constrictor” w kraju Ussuryjskim ani czerwonych kuropat w kraju jezior Szyro, ponieważ wąż taki znajduje się tylko w środkowej i południowej Ameryce, a czerwone kuropaty tylko w zachodniej Europie.

— Pan Ossendowski wyjął tekę i podał mi w młeczu fotografii boja australijskiego na karcie poczwowej, przysłaanej mi z Australji, oraz zaświadczenie kustosa muzeum we Władystoku, stwierdzające, że w muzeum miejscowym znajduje się okaz boja ussuryjskiego.

— Co do czerwonych kuropat, które rzekomo mieszkają tylko w zachodniej Europie, to ma tu pan oficjalne wydawnictwo rosyjskiego ministerstwa rolnictwa, stwierdzające fakt istnienia czerwonych kuropat skalnych w górach Altajskich, dochodzących do jeziora Szyro. Poza tem jest jesienną zabiłem około trzystu sztuk kuropat w Afryce północnej, a wszystkie śmiały być czerwone i skalne.

— Co pan powie o zarzutach stawianych panu co do opisu jezior Kosogol i Szyro?

— Odpowiedź krótka, mój panie. Krytycy, byli oficer rosyjski, general Michelis, zwiędził północną część Kosogolu i opisywanych przeze mnie zjawisk nie widział. Tymczasem moje spotkanie co do falowania Kosogolu i rzeki Egin Goł bez zewnętrznych przyczyn i co do pękania lodu w zimie potwierdził każdemu przeczytanie str. 732-740 t. VI dzieł Réclusa, a z nowszych raport dr. Alfonsa Paqueta, członka Tow. Geograficznego w Je-

nie. Co do zjawisk gwałtownego opuszczania się dna jeziora Szyro, odsyłam ciekawych do raportów urzędowych Stanisława Zaleskiego i Eugenjusza Różyckiego, z których radzie górnicy w Petersburgu. O podobnych zjawiskach w innych miejscach mówią też Réclus, Dorobostajski i Chilczyński.

— Jeden z krytyków wyrażał wątpliwość co do opisanych przez pana kieszeni w skórze aresztantów kryminalnych a Rosji.

— Sceptycyzm jest główną dźwignią postępu; lub sceptycyzm w nauce. W danym wypadku coprawda chodzi nie o naukę, lecz tyko o powód do mniejszej

„król świata”. Otóż ponieważ, jak twierdził mój poznański napasnik, francuski teozof nigdy nie był w Azji, a więc — o simplicitas! — całą historję o królu świata i krainie Agarta wyssał z palca. Ja zaś, pisząc również o „królu świata” i krainie Agarty, dopuściłem się plagiatu. Ta nowina ogromnie mnie zaciekawiła, sprwadziłem więc książkę Saint Yves d'Alveydre i przewertowałem ją starannie. Autor istotnie nigdy nie był w Azji, lecz przestudował literaturę hinduska, hebrajską i arabską, gdzie można znaleźć ślady Agarty, a co najważniejsze, jego nauczycielem sanskrytu i historii Azji był hinduski książę Szaripi, który bez wątpienia

ce przypomniałem sobie, że był przy Kołczaku na Syberji, skąd go zamierzano wysłać za podejrzaną działalność na rzecz sowietów. Z sowietami po upadku Kołczaka pozostał w kontakcie przez czas dłuższy. Powrócił do Szwajcjarji z żoną Rosjanką i wkrótce wydał dwie książki, poświęcone propagandzie sowietów. Jednocześnie, różnemi, nie zawsze uczciwymi sposobami, jak anonim, denuncjacja, oszczerstwa, zwalczał wrogów rządu sowieckiego w Szwajcjarji.

— Kiedy p. Montandon rozpoczął swój atak?

— W czasie mojego pobytu w Afryce, chronologicznie zaś przed uznaniem sowietów przez Francję. Ta okoliczność przekonała mnie ostatecznie, że za plecami etjopskiego dostojnika stoją sowietcy agenci. Dowiódł tego sam Montandon, gdy, wezwany przeze mnie do Paryża na dysputę, zjawił się w ołoczeniu tłumy komunistów, z których połowę stanowili rosyjscy bolszewicy.

— Na czem polegały zarzuty p. Montandon?

— Operując kilkoma datami, usiłował dowiedzieć, że moja grupa nie mogła w tym czasie odbyć podróży przez Mongolję i północny Tybet, zarzucał mi nieścisłość wskazywanych dystansów i twierdził, że moja książka jest owocem fantazji literackiej.

— Jaka była obrona pana?

— Bardzo prosta i nieskomplikowana. Mam świadków mojej wyprawy przez Mongolję i północny Tybet, a poza tem mam swój dziennik, ten dokument ciężkich przeżyć, który panu pokażę jako największą osobliwość. W tym dzienniku niema ani dat, ani dystansów zarzucanych mi przez Montandona. Niema ich też w mej polskiej książce. Pojawili się one tylko w wydaniu angielskim, gdyż mój tłumacz w Waszyngtonie chciał koniecznie dać książce zewnętrzne pozory „naukowej” wyprawy i męczył mnie tak długo, że w końcu z wielkim trudem, nie reząc za ścisłość, podałem mu przybliżone dane.

— Oglądam notatkę podróże p. Ossendowskiego. Stawiają je dwa zniszczone chińskie kajety, zapisane o ówkiem, który miejscami już się ścięca, zaczyna, oprócz zapisów znajdujących w nich słowniki urianchajski i mongolski oraz słownik angielski, który — jak mnie objaśnił p. Ossendowski — sporządził dla swoich uczniów — Chinczyków i Rosjan w Ula-sutaj, gdzie lekcjami angielskiego zarabiał na swoje i swoich towarzyszy utrzymanie.

— Tymczasem p. Ossendowski mówi dalej:

— Co do zarzutu stwierdzenia pierwiastku fantazji w moich opisach, to z tem stała się bardzo ciekawa rzecz, która odkryła karty moich przeciwników. Na moje bowiem zapytanie, co wywniknie, jeżeli fakt będzie stwierdzony, p. Montandon i jeden z eskortujących go komunistów oznajmili, że chodzi im o to, aby dowiedzieć fantazji w mojej książce, gdyż wtedy moje opisy okrucieństw bolszewików są też fantazją. Oczywiście nie zrobiłem tej przyjemności bolszewikom i oznajmiłem, że enociaż dalem w książce opis osobistych, subiektywnych przeżyć i wrażeń, jednak ani cienia fantazji w mej książce niema.

— Któż był obecny przy dyspacie rosyjskiej?

— Znany podróżnik po Azji Środkowej p. Bonvalot, Benoit, autor „Atlantidy”, Massis, Duhamel, Lefèvre i inni literaci i uczeni, z których każdy ze swego punktu widzenia mnie bronili. Znamiomity podróżnik Saint Yves przysłał mi list, stwierdzający fakt, że moje opisy mają w nauce geograficznej potwierdzenie, i że moja książka jest nie tylko utworem literackim, lecz dziełem z geografji duszy Azji, która jest niemniej ważna od geografji gór i rzek — a stanowczo ciekawsza.

— Czy p. Montandon dał panu spokój po tej dyspacie?

— Pan Ossendowski podniósł głowę i wyjął z pliki notatek wycinek z gazety „La Suisse” z dn. 20 grudnia 1924 r. — Pana Montandon posadono do więzienia za oszczerstwo i obrazę. Wsadził go p. Burnier, redaktor „Gazette de Lausanne”, który na sadzie dowiódł, że p. Montandon jest współpracownikiem sowieckich agentów, autorem anonimowych broszur, pamfletów i oszczerstw. Kawaler „Gwiazdy Etiopji” osiadł w ulu i skazywany został na grzywnę. Z takim typem zmuszony bym walczyć, mając za swemi plecami pewne organy prasy polskiej, atakujące mnę od tyłu. Rozumie pan moje rozczarowanie i rozgoryczenie.

— Przejdźmy teraz do napaści p. Sven Hedin, jeżeli pan pozwoli.

— Owszem. Znamiomity szwedzki podróżnik, który najlepiej mógł ocenić anomalnie ciężkie warunki mojej podróży przez Azję Środkową i czysto literacki charakter jej opisu, nie atakował mnie przez dość długi czas istnienia mojej książki. Ataki rozpoczął się po wizycie z żoną p. Hedinowi przez czonków misji sowieckiej, którzy zaproponowali mi podóże przez Rosję do Ch. n. W Moskwie Hedin felatowano, noszono na rękach, prowadzono długie a tajemnicze rozmowy. Twierdził z całą stanowczością, że była wterę też mowa o mojej skromnej książce. Pan Sven Hedin w ciągu trzech tygodni tak zgłębił Rosję sowiecką, tak się przejął sympatją dla niej i jej kierowników, że napisał po niemiecku książkę p. t. „Z Pekinu do Moskwy”, wybuchając niepomahowanym i istotnie zastanawiającym zachwytem dla „sowieckiego rajju”. W tej książce i w kilku artykułach z namietnością zgłola nie północną napaść na mnie. Oskarżał mnie o zmyślenie mojej



ANTONI OSSENDOWSKI

więcej dowcipnych drwin. Niemniej polem uważam krytyków, którym tyle sprawiam kłopotów, kryminalną literaturę rosyjską oraz specjalną ustawę angielską o kopalniach złota i diamentów w Afryce po udnoweji. W tych dokumentach nasi mili sceptycy przeczytają sworo ciekawych rzeczy o „naturalnych kieszeniach” w ciele ludzkim i z pewnością dadzą sobie i mnie święty spokój.

— Znam są pewnie panu zarzuty z powodu wyidealizowania postaci barona Ungerna?

— Owszem! Ktoś nawet delikatnie zdenuncjował mnie z tego powodu jako niemieckiego agenta. Co do tajemniczej, krwawej, zbrodni, i ponurej postaci barona Ungerna, muszę stwierdzić, iż podczas wielkiej wojny był on odwołany ze Wschodnich Prus, które z szalonym okrucieństwem zalewał krwią i pożogą. Namalowałem w swej książce „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów” postać barona Ungerna z fotograficzną niemal dokandnością, co stwierdził nacelnik artylerji dywizji barona, major Aleksandrowicz, w liście do mnie, pisany w Gniezna. Co do mego stosunku do Ungerna, to przejrzałem go n.wskroś, i był dla mnie w zasadzie wstrętny, lecz praktycznie całkiem do przyjęcia. Pełen nienawiści i żądzy zemsty na bolszewikach, który zburzył cały mój wieleletni dorobek i spalił nawet dwa duże rękopisy moich nowych powieści, widziałem w Ungernie naturalnego sojusznika i podałem mu rękę tak samo, jakbym w tych samych warunkach podał ją djabu w rogatemu, gdyby zaprzysięgił się na bolszewików. Był to czas walki i wojny, gdy na sojuszników nie szukało się niewinnych dziewczyn, mój panie!

— A w szlucie pańskiej „Żywy Buddha”?

— Pan Ossendowski zaśmiał się wesoło i zawałot:

— Nie mówmy o tem moim nieprawem dziecku! Wszystkim przysporzy o ono niezliczonych kłopotów! Niewdzięczny to pód! Teraz uciekł np. zagranicę i — muszę się panu przyznać — zupełnie nie obchodzi mnie jego dalsze losy! Bekar! Nie wspomnijmy już o nim! Natomiast chcę panu dać pewne wyjaśnienie co do oskarżenia mnie o plagiat! Oskarżenie to uczynił jeden z poznańskich kolegów literatów, właśnie z „Żywym Budda” trochę związane historycznie. Oskarżenia swojego usznie dostarczył memu bolszewizującemu przeciwnikowi, p. Sven Hedinowi. Moja nowa zbrodnia polega na tem, iż podobno, niegdys, gdzieś, jakiś francuski teozof Saint Yves d'Alveydre napisał książkę o podziemnym państwie Agarta, gdzie panuje tajemniczy

legende o „królu świata” opowiedział swemu uczniowi. Co do mnie — to nie znam literatury bramitskiej, buddhijskiej i lebrajskiej, nie czytałem teozofów, ale słyszałem w Mongolji opowieść o Aharta i „królu świata” od Mongoów i mam na to żyjących świadków. Może poznański kame-on będzie twierdził, że Mongolowie czytali przedtem francuskiego teozofa i popielnili plagiat? Mój przeciwnik z Poznania potrafił bowiem obrócić kota ogonem, jak to już czynił moralnie, zamieniając francuskie „de” przy swoim nazwisku na niemieckie „von” i vice-versa. Zdolny bowiem jest to człowiek do wszystkiego oprócz literatury, do której jednak czuje cho-obliwy pociąg.

— Może przejdźmy teraz do dwóch przeciwników zagranicznych pana, Sven Hedin i Montandona?

— Pozwoli pan, że najprzód załatwię się z p. Montandon, który zresztą już się sam ze sobą zajął i siedzi b.edacyzsko w więzieniu. Czy może jedn.k dać historyczną genezę tej walki na zewnątrz, zanim opowiem o p. Montandon?

— Bardzo proszę!

— Moja książka „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów” obiega już dwa lata cały świat i żadnych napaści nie doznała, gdy nagle w paru zagranicznych parlamentach zacytowano ją jako dokument anty-bolszewicki. Sowiety stanęły wtedy dęba i postanowily walczyć. Zaczęło się od propozycji wypłacenia mi 200.000 złotych za nie oporusczenie spraw Rosji sowieckiej; gdy się to nie udało, starano się urzędowo zmusić moich nakładowców niemieckich do niewydawania moich książek w Niemczech i krajach skandynewskich. Ta impreza też się nie udała. Wtedy sowieckie biura propagandy w Lozannie i Berlinie wynajęły dwóch uczonych — Szwajcara Montandona i Szweda Sven Hedin, — poleciszysy im „zdyskwalifikowanie” mojej książki!

— Czy wiadomo panu, kim jest dr. Montandon?

— Owszem biografia tego pana jest mi dobrze znana. Pan Montandon jest doktorem medycyny, przed kilku laty był w Absynji, gdzie otrzymał tytuł kawalera orderu „Gwiazdy Etiopji”, co starannie wypisuje na swoim biletie wizytowym, który będzie pan łaskaw obierzać.

— Pan Ossendowski pokazał mi bilet p. Montandon zapisany szeregiem tytułów, a wśród nich — „Gwiazdy Etiopji”!

— Z punktu widzenia psychologicznego ten bilet jest dowodem niezupełnej równowagi umysłowej. Na to zwróciłem uwagę odrazu, gdy się zjawiły pierwsze zarzuty, nielogiczne, brutalne artykuły i broszury tego kawalera etjopskiego. Zaczętem zbierać o nim wiadomości i wkrót-

ce przypominałem sobie, że był przy Kołczaku na Syberji, skąd go zamierzano wysłać za podejrzaną działalność na rzecz sowietów. Z sowietami po upadku Kołczaka pozostał w kontakcie przez czas dłuższy. Powrócił do Szwajcjarji z żoną Rosjanką i wkrótce wydał dwie książki, poświęcone propagandzie sowietów. Jednocześnie, różnemi, nie zawsze uczciwymi sposobami, jak anonim, denuncjacja, oszczerstwa, zwalczał wrogów rządu sowieckiego w Szwajcjarji.

— Kiedy p. Montandon rozpoczął swój atak?

— W czasie mojego pobytu w Afryce, chronologicznie zaś przed uznaniem sowietów przez Francję. Ta okoliczność przekonała mnie ostatecznie, że za plecami etjopskiego dostojnika stoją sowietcy agenci. Dowiódł tego sam Montandon, gdy, wezwany przeze mnie do Paryża na dysputę, zjawił się w ołoczeniu tłumy komunistów, z których połowę stanowili rosyjscy bolszewicy.

— Na czem polegały zarzuty p. Montandon?

— Operując kilkoma datami, usiłował dowiedzieć, że moja grupa nie mogła w tym czasie odbyć podróży przez Mongolję i północny Tybet, zarzucał mi nieścisłość wskazywanych dystansów i twierdził, że moja książka jest owocem fantazji literackiej.

— Jaka była obrona pana?

— Bardzo prosta i nieskomplikowana. Mam świadków mojej wyprawy przez Mongolję i północny Tybet, a poza tem mam swój dziennik, ten dokument ciężkich przeżyć, który panu pokażę jako największą osobliwość. W tym dzienniku niema ani dat, ani dystansów zarzucanych mi przez Montandona. Niema ich też w mej polskiej książce. Pojawili się one tylko w wydaniu angielskim, gdyż mój tłumacz w Waszyngtonie chciał koniecznie dać książce zewnętrzne pozory „naukowej” wyprawy i męczył mnie tak długo, że w końcu z wielkim trudem, nie reząc za ścisłość, podałem mu przybliżone dane.

— Oglądam notatkę podróże p. Ossendowskiego. Stawiają je dwa zniszczone chińskie kajety, zapisane o ówkiem, który miejscami już się ścięca, zaczyna, oprócz zapisów znajdujących w nich słowniki urianchajski i mongolski oraz słownik angielski, który — jak mnie objaśnił p. Ossendowski — sporządził dla swoich uczniów — Chinczyków i Rosjan w Ula-sutaj, gdzie lekcjami angielskiego zarabiał na swoje i swoich towarzyszy utrzymanie.

— Tymczasem p. Ossendowski mówi dalej:

— Co do zarzutu stwierdzenia pierwiastku fantazji w moich opisach, to z tem stała się bardzo ciekawa rzecz, która odkryła karty moich przeciwników. Na moje bowiem zapytanie, co wywniknie, jeżeli fakt będzie stwierdzony, p. Montandon i jeden z eskortujących go komunistów oznajmili, że chodzi im o to, aby dowiedzieć fantazji w mojej książce, gdyż wtedy moje opisy okrucieństw bolszewików są też fantazją. Oczywiście nie zrobiłem tej przyjemności bolszewikom i oznajmiłem, że enociaż dalem w książce opis osobistych, subiektywnych przeżyć i wrażeń, jednak ani cienia fantazji w mej książce niema.

— Któż był obecny przy dyspacie rosyjskiej?

— Znany podróżnik po Azji Środkowej p. Bonvalot, Benoit, autor „Atlantidy”, Massis, Duhamel, Lefèvre i inni literaci i uczeni, z których każdy ze swego punktu widzenia mnie bronili. Znamiomity podróżnik Saint Yves przysłał mi list, stwierdzający fakt, że moje opisy mają w nauce geograficznej potwierdzenie, i że moja książka jest nie tylko utworem literackim, lecz dziełem z geografji duszy Azji, która jest niemniej ważna od geografji gór i rzek — a stanowczo ciekawsza.

— Czy p. Montandon dał panu spokój po tej dyspacie?

— Pan Ossendowski podniósł głowę i wyjął z pliki notatek wycinek z gazety „La Suisse” z dn. 20 grudnia 1924 r. — Pana Montandon posadono do więzienia za oszczerstwo i obrazę. Wsadził go p. Burnier, redaktor „Gazette de Lausanne”, który na sadzie dowiódł, że p. Montandon jest współpracownikiem sowieckich agentów, autorem anonimowych broszur, pamfletów i oszczerstw. Kawaler „Gwiazdy Etiopji” osiadł w ulu i skazywany został na grzywnę. Z takim typem zmuszony bym walczyć, mając za swemi plecami pewne organy prasy polskiej, atakujące mnę od tyłu. Rozumie pan moje rozczarowanie i rozgoryczenie.

— Przejdźmy teraz do napaści p. Sven Hedin, jeżeli pan pozwoli.

— Owszem. Znamiomity szwedzki podróżnik, który najlepiej mógł ocenić anomalnie ciężkie warunki mojej podróży przez Azję Środkową i czysto literacki charakter jej opisu, nie atakował mnie przez dość długi czas istnienia mojej książki. Ataki rozpoczął się po wizycie z żoną p. Hedinowi przez czonków misji sowieckiej, którzy zaproponowali mi podóże przez Rosję do Ch. n. W Moskwie Hedin felatowano, noszono na rękach, prowadzono długie a tajemnicze rozmowy. Twierdził z całą stanowczością, że była wterę też mowa o mojej skromnej książce. Pan Sven Hedin w ciągu trzech tygodni tak zgłębił Rosję sowiecką, tak się przejął sympatją dla niej i jej kierowników, że napisał po niemiecku książkę p. t. „Z Pekinu do Moskwy”, wybuchając niepomahowanym i istotnie zastanawiającym zachwytem dla „sowieckiego rajju”. W tej książce i w kilku artykułach z namietnością zgłola nie północną napaść na mnie. Oskarżał mnie o zmyślenie mojej

podróży i o błędy geograficzne. Jak już panu zaznaczyłem, mam swój dziennik, mam świadków mej podróży, więc dowieść prawdy mogę każdej chwili. Przyznaję się do błędów geograficznych, nie-nieunikniętych w takiej wyprawie, gdzie każdy szczerp tubylczy inaczej nazywa góry, rzeki i jeziora i po swemu oblicza dystansy, a których sam stwierdzić nie mogę, rozporządzając jako jedynym naukowym instrumentem... karabnem. Gdy zaczął pisać swoją książkę w Ameryce, miał zrazu zamiar zrewidowania szczegółów geograficznych przy pomocy literatury naukowej i świetnych map, jakie miałem do dyspozycji w waszyngtońskiej „Congress Library”. Po namyśle jednak postanowiłem posugwać się wyłącznie tylko swemi bezpośrednimi notatkami, aby nie odbierać całej pracy charakteru „dokumentu luźkiego”. Zamierzałem napisać rzecz literacką, więc ten charakter jej był najwłaściwszy, bez pretensji do uczoności, na której urwanie nie miałem zresztą ani sposobności, ani czasu, ani środków materialnych i technicznych.

— Więc o cóż poszło p. Sven Hedinowi?

— Właśnie atak jego zastanowił mnie. Podałem go wszechstronnej analizie, która pozwała mi teraz stanowczo twierdzić, że p. Sven Hedin został wynajęty przez sowietów, tak samo jak był wynajęty w dobre wielkiej wojny przez Wilhelma II, pisząc na jego cześć najbardziej naiwne i ponizające znakomitego podóznika panegiryki, pełne służalczości i niemal piego oddania. Piórem Hedin wodzą obecną panowie Kopp, Raczkowskij, Lunaczarskij, Joffe i Zinowjew. Jest to, panie, walka polityczna na rzecz sowietów, i jeżeli na pierś Szweda Sven Hedin na ujrzemy bolszewicki order „Czerwonej Gwiazdy”, będzie to zaś użona nagroda za wierna, aczkolwiek hanbiąca go na resztę życia, służbę na żołdzie wrogów cywilizacji.

— Jednak nie zaprzeczy pan, że Sven Hedin zna Azję?

— Zna rzeki, góry, jeziora i pustynie, lecz ludzi z n a l on niegdys; w czasie ostatnich piętnastu lat jego niebytności w Azji zaszy tak poważnie zmiany w psychice ludów azjatyckich, że p. Sven Hedin obecnie n.ema najmniejszego o niej wyobrażenia. Spiera się ze mną o każdy szczegół tylko dlatego, iż z Moskwy kazano mu zwalczać mnie i gofifikować „sowiecki raj”. Zaiste, sowiety umieją eksploatować ludzi o wygórowanej ambicji i chwiejnych zasadach społeczno-moralnych. Jest to drobny fragment ohydne obrazu upadku, deprawacji i zgłoiny, rzucony światu przez komunizm rosyjski.

— Pan Ossendowski gwałtownie wstał, przeszedł się nerwowym krokiem po gabinecie i usiadłszy znowu, zaczął mówić dalej:

— Czyż hanba jest, jeżeli na ulicy ugrzyje przechodnia wściekły pies lub obrzuci ohydnymi słowami pijany gbur? Zdawaloby się, że nie, a tymczasem niektórzy panowie z prasy wo ali ze sztuczną pianą wściekłości na ustach, że ja przyniosłem hanbę nauce i literaturze polskiej! A nie zadali sobie nawet trudu zbadania, kim jest p. Montandon lub co skłoniło Sven Hedin do napaści na mnie. A setki pochwalnych artykułów w prasie angielskiej, francuskiej, amerykańskiej, niemieckiej, jest niczem, wobec faktu, że wyrok potępiający wydał pomylony na umyśle oszczerca lub neofita bolszewicki. Być może, że to nieuzasadnione pretensje z mej strony, że w tej naszej powojennej Polsce już tak być musi, że n.kt, kto ciężkim trudem całego życia wzblił się ponad przeciętność, nie ostoi się przed bitem ułepianem z brudu i jadu tych, którzy — sami niezdni do uczciwej pracy twórczej — w bu zeniu dorobku drugich znajdują sadystyczną radość życia! Powie kto, że jeśli ludzie dostojniejsi odemnie, będący symbolami majestatu Rzeczypospolitej, nie mogą unknąć tego losu we w asnej ojczyźnie, to nie może mieć o to pretensji „przybłęda z Irkucka”? Otóż widzi pan, do jakich konkluzji człowiek dochodzi! Dla n.kt dotąd milczałem. Nie bronilem się. Pan mnie pociągnął za język, i wdzienięc panu jestem za wielką uprzejmość i redakcji „Wiadomości Literackich” za gotowość udzielenia mi głosu. Jest to jedn.k pierwsza i ostatnia „obrona” w prasie. Mam swoje książki i z ich kartek będę przemawiał do świata. Zresztą wkrótce wybieram się w daleką i długą podróż, i gdy mnie owieją na nowo opary dzungli lub oprąży gorący wiatr pustyni, rozwieje się smutek duszy.

— A pisarskie zamiary pana na przyszłość?

— Drukuje się obecnie w Anglii, Ameryce, Francji i Niemczech moja najnowsza książka „Od prezydentury do więzienia”, w której opisuję przeżycia rewolucji 1905 r. w wojnie rosyjsko-japońskiej i wrażenia z wojenja.

— A co pan pisze obecnie?

— Zaczętem pisać książkę o północnej Afryce. Obawiam się jednak, że na jakąś czas będę musiał przerwać tę pracę, gdyż jestem zaproszony do wygłoszenia szeregu odczytów w Szwecji, Danji i Anglii.

— Wspomniał pan o długiej podróży. Czy wolno zapytać, dokąd się pan wybiera?

— Wybieram się do Afryki środkowej i mam zamiar przeciąć kontynent afrykański z zachodu na wschód. Tym razem będę miał możność dokonania podróży naukowej z całą potrzebą do tego organizacja. Obawiam się tylko, czy rezultaty jej, jeśli książka ta ukaże się po polsku, nie powikłają jeszcze bardziej naszego społecznego problematu: „uczony czy literat”?... kcz.

PLAKATY  
SP. OO.  
WARSZAWA  
30 KILYZY  
KA  
30  
TEL  
22-04  
REKAMA  
ADRY  
TYCNA  
PLAKATY  
AKCJE  
DYPLOMY  
ETKIE  
TY  
WYKWI  
NE  
PAPERY  
LISTWE  
FIRMOWE  
PROPEK  
TY  
ZARO  
SZENIA  
EIC  
PROEK  
TY  
DEKARU  
WNERZ  
WYSAW  
SKLIPO  
WYH  
REFRE  
ZENTACJA  
LIT. ART.  
W. GŁO  
CZEWSKI  
SZKCE  
KOSTO  
RYN  
NA  
ZADANIE

## W konfesjonale Grubińskiego

Nakładem F. Hoësicka ukaże się w tych dniach zbiór studiów, szkiców, refleksyj, uwag, notatek i aforyzmów krytycznych Wacława Grubińskiego p. t. „W moim konfesjonale”. Z przedmowy do tej książki wyjmujemy kilka fragmentów.

Mogłoby się obyc bez słowa wstępnego; niechby mówiła za siebie w miarę swojej wymowności sama zawartość niniejszego woluminu; niechby usprawiedliwiła i okładowy tytuł. Ale mój wydawca jest innego zdania. Przedmowa nigdy nie zaskodzi, powiada. Czytelnicy rzadko po przeczytaniu książki sami wysnuwają sobie z niej, przedmowe, a nawet i w tych szczęśliwych wypadkach, kiedy to czynią, czynią to przeważnie znacznie gorzej niż autor, który nie zawsze wprawdzie wie, co w swoim dziele mówi, ale prawie zawsze wie, co chciał powiedzieć.



WACŁAW GRUBIŃSKI  
wykonał dla „Wiadomości Literackich” zakład fotograficzny Karole Pęcherskiego

Myszę, że wydawca cokolwiek przesadził. Nie przeczę, że niektórzy autorowie nie rozumieją swych własnych utworów, co publicznie stwierdzał już przed dwoma tysiącami lat Sokrates; nie należy jednak tego utrzymywać o autorach dzieł krytycznych. Krytyk to świadość. Krytyk bez świadomości to contradictio in adiecto. Niepodobna wyobrazić sobie „rozróżniacza”, oceniacza, czyli krytyka, któryby mówiąc o danym dziele, nie wiedział, co mówi.

Na to mój wydawca jadowicie się uśmiechnął i po przyjacielsku biorąc mnie pod ramię, rzekł że złośliwa uciecha;

Pan nie czytuje krytyk. Odparłem, że jedynie poeci mogą nie rozumieć własnych utworów, poematów, dramatów i nowel, i to tylko w tem znaczeniu, w jakim np. mężczyzna, pełen nienawiści do danej kobiety, może nie wiedzieć, że ją właśnie kocha; ale krytyk, nie rozpoznający istotnych uczuć pod maskami różnych objawów uczuciowych, jest nie do pomysłenia.

O czem innym była mowa — rzekł nieostropiony wydawca. — Zaczynaliśmy tamach naszych czasopism taką krytykę, której autor, wiedząc zapewne, co chce powiedzieć, nie wiedział wszelako, co mówi. Np. chciał zakonkludować, że dane dzieło jest marne, i wybornie wiedział, że chce tak zakonkludować; przecież, zanim do tej konkluzji doszedł, w ciągu całego swego artykułu nie wiedział, co mówi. A przynajmniej, że w ocenie krytycznej ważniejsze jest, co autor mówi w ciągu artykułu, niżeli konkluzja „czytajcie to piękne dzieło”, lub „nie czytajcie tej marnoty”.

— Och, dla powodzenia książki bardzo ważna jest taka konkluzja. — Wiesz. Lecz ja teraz stwierdzam co innego. Stwierdzam, że literacka wartość danej krytyki tkwi nie w konkluzji. Jeżeli w ciągu artykułu autor nie wie, co mówi... — wydawca rozłożył ręce — to... — zająknął się — to koniec!

— Jakto nie wie, co mówi? Co pan właściwie chce przez to...? — Wydawca posmutniał, utknął we mnie głosem nagle oczy i rzekł cichym głosem, jakby wierzącym mi gorzką tajemnicę:

— Co chce przez to powiedzieć? Ze między krytykami jest znacznie mniej dobrych stylistów, niż między przedstawicielami pozostałych rodzajów literackich. Tak, szanowny panie. Chociaż nie wypada, żeby tak właśnie było. W najwyższym stopniu nie wypada! Kto piórem rozprawia o wartościach piór innych, ten powinien piórem władać po mistrzowsku. Kto piórem wskazuje błędy czy zalety, tego pióro musi umieć subtelnie wskazywać. Ilu wśród naszych krytyków można nazwać artystami? Przynajmniej, że dobrze napisany artykuł krytyczny czyta się z takim samym zajęciem, jak rozdział dobrej powieści. O lichej powieści krytyk powinien pisać świetny artykuł krytyczny, i nawet sądzić, że jeżeli można wybaczyć autorowi że napisaną powieść, to że napisana krytyka jest absolutnie niedopuszczalna. Krytyk może się mylić, ponieważ jest człowiekiem, ale musi się mylić z mistrzowską jasnością, czyli, pod względem stylistycznym, pierwszorzędnie.

— Czy drogi pan uważa, że w niniejszej książce myślę się nie dosyć jasno, i dlatego żada pan przedmowy? — Nie żadam, lecz pragnę. Już powiedziałem dlaczego. Czytelnikowi trzeba wytłumaczyć, trzeba go nauczyć, jak ma grzyć i polykać ofiarowywany mu pokarm duchowy. Kto się odżywia umiejętnie, ten nie tylko się nasycy; nasycy się nadto z przyjemnością. A pozatem przedmowa to wymarzona dla pana okazja do polemiki z pańskimi krytykami. — Jakto?

— Niech się pan nie obraża, ale chociaż pan wydaje książkę, poświęconą rozbiorem krytycznym, tak, pomimo to nie jest pan przecież... krytykiem.

— Nie jestem krytykiem? Wieloletni krytyk teatralny i literacki nie jest krytykiem? — Owszem, jest, naturalnie. Ale przedewszystkiem jest pan dramaturgiem, nowelistą, w przeciwieństwie np. do Lessinga, który przedewszystkiem był krytykiem, a potem dopiero dramaturgiem. Lessing dlatego mógł pisać cenione dramaty, że był świetnym krytykiem. Oświadczył przecież kiedyś, proponował zakład, że każda tragedja Corneille'a napisze lepiej od Corneille'a. I dodał: „Ale pomimo to daleko mi będzie do Corneille'a”. Pański wypadek jest odwrotny. Pan dlatego może pisać interesujące krytyki, że pan jest dramaturgiem, nowelistą, krótko mówiąc, twórcą. Pan pisze rozbiory krytyczne nie jako krytyk, lecz jako dramaturg, nowelista, twórca. Oceniają jakiś utwór sceniczny, pan się nie odwołuje do nienaruszalnych zasad Arystotelesa, ale odwołuje się pan do swego wrodzonego poczucia tragedji.

— Ależ to wszystko jedno! — Nie powiem. Mając wrodzone poczucie tragedji, można napisać złe zbudowane, a przecież wstrząsające i wspinające dzieło sceniczne. W odwrotnym wypadku można jedynie wygrać bez chwały zakład Lessingowski. Użyjmy porównania; wyobraźmy sobie, że dramatem, podlegającym ocenie, jest żywy jarbusek. Panu, jako krytykowi, rzuciliby się w oczy w tem dziele przedewszystkiem życie, Lessingowi — garb. Pan zawałoby: „To dzieło żyje!” Lessing powiedziałby: „Ten utwór jest olumny”.

— Drogi panie i dwuznaczny pochlebco, myślę, że się pan myli. Między krytykiem - dramaturgiem a dramaturgiem-krytykiem niema na terenie krytyki tak wielkiej różnicy. Niech pan laskawie przeczyta, co napisał o „Kławie” albo o „Hamlecie”. I ja widzę garby. Pan Jan Lorentowicz aż mówi z tego powodu o mnie z przekasem, że „poprawiam” Wyspiańskiego i Szekspira, nie spozstrzegając, zresztą, że tem kłamiwym powiedzeniem podcina gałąź, na której sam siedzi, mianowicie krytykę. Każdy błąd, który w danem dziele spozstrzegają krytyk, jest nieczem innym, jeno właśnie „poprawianiem” danego dzieła. Pan Lorentowicz uważa widocznie, że Wyspiański i Szekspir nie popełniali błędów, i że wielkie jest tylko to, co jest bezbłędne. Nie chce pan chyba, abym pisał przedmowę dla obalenia tych dwu postulatów krytycznych pana Lorentowicza!

Pozwalam sobie mniemać, że ta mała nieuporządkowana książka więcej mówi o twórczości literackiej, niżeli np. cała „Historja literatury” Chmielowskiego. Proszę nie rozumieć tego powiedzenia złośliwie w tym sensie, że ja więcej czytałem, niżeli Piotr Chmielowski, niestrudzony działacz i imponujący erudyta. Czytałem nieskończenie mniej. Ale czytałem inaczej. Fotel w gabinecie literackim Chmielowskiego nie był konfesjonalem. Autor nic nie wyznawał Chmielowskiemu. A powinien mu być mówić to, co chciałby ukryć przed wszystkimi i przed samym sobą, i to, czego dotąd sam o sobie nie wiedział. Krytyk jest osobistością, która czyni autora uświadomionym i wymownym. W moim konfesjonale literackim wymagałem tej, nieraz przykrej dla autora, otwartości i jeżeli się bardzo nie myle, czasami odsłaniał przede mną swoje wstydliwe sekrety, zwierzał się bowiem... dramaturgowi. Wielkiego inwentaryzatora naszego piśmiennictwa, prof. Chmielowskiego, przytoczyłem jako typowy w Polsce przykład zamilowanego dziejopisa literatury i krytyka, który, mimo najlepszych chęci, nie jest w stanie obudzić miłości dla sztuki piśmienniczej. Nie posiada tej kardynalnej, mojem zdaniem, właściwości, bez której na nic się nie przyda rozprawianie o twórczości literackiej. I znów proszę mnie źle nie rozumieć. Budzi się miłość do literatury bynajmniej nie przez chwalenie utworów literackich. Krytyk może „rabac” najcenniejsze dzieło, wszystko co do tychczas napisano, a jednak porwie nas dla twórczości literackiej, jeżeli da nam pojąć, czem jest twórczość literacka. Veullot, krytyk francuski polowy zeszłego stulecia, takich pisarzy jak Szekspir, Moliere, Lesage, Buffon, Beaumarchais, Voltaire, Hugo, Béranger, Byron, Musset, Heine, Lamartine, George Sand, Cousin, Guizot, Michelet, Renan, Sainte-Beuve, nazywał piarstwem. Ale, mówiąc o „Gil Blasie” i „Rabiacie”, „Cyrułika sewilskiego”, chwycił Lesage'a i Beaumarchais niejako na momencie palpacji twórczej i wrażenie tej palpacji przekazywał czytelnikowi, sam rozplomieniony i świetny stylista. U nas głębokie koncepcje filozoficzne tak niepospolitego krytyka, jak Stanisław Brzozowski, mimo że trudne do pojęcia ze względu na styl, daleki od jasności, porównają przecież czytelnika ku literaturze przez to, że pulsują gorączką współtwórczy z omawianym autorem. Fotel literacki Brzozowskiego był konfesjonalem. Ba! konfesjonalem inkwizycyjnym... o ziemiennym kodeksie wiary. Ale to nic, że ten niespokojny duch spowiednika zmienił dogmaty, według których nagradzał badanych rozgrzeszeniem albo stosem; bo spowiedniczą swoją misję spełniał na niewzruszonej podstawie miłości dla literatury. Nieraz Brzozowski krzywdził twórców, nigdy nie skrzywdził twórczości. Chmielowski zawsze był sprawiedliwy, lecz w sposób objęty dla literatury. Zresztą ktoby z tego argumentu wywnioskował, że lubię i pisma Brzozowskiego, tenby się omylił. Nie lubię w tych pismach ich tonu rozrządzonego, fanatycznego, drapieżnego, rachunku sumienia, nie lubię w nich Veullota, Brzozowskiego, rozbiorek dzieł, straszy autora, czytelnika i siebie, budzi popłoch, nawet panikę. Z krytyka staje się Jeremiaszem.

## Poezje Choromańskiego

W tych dniach ukaże się w nakładzie F. Hoësicka tom poezji Leona Choromańskiego p. t. „Urna”. Z tomu tego wyjmujemy wiersz „Studnia”.



LEON CHOROMAŃSKI  
wykonał dla „Wiadomości Literackich” zakład fotograficzny Karole Pęcherskiego

W mozaikę kolorowa zbiegły się kamienie  
W strumyku, który szczył się od studni.  
Pomykającej wody pomne lśnienie  
W upały nieruchome lipcowych południ.  
Kiedy drzewa, jak zielone banie,  
Pszczół pełne muzyki,  
I kogoś czupurne pianie  
I daleki odgłos harmonijki  
Gwarzyły na placu przy kościele...  
Tam stara pochyla studnia  
Była poicielką - matką —  
Do niej krągły kacząt stadko —  
Złoty, jak morele —  
Człapało poprzez skwar południa.

Ciężki kubeł, w cembrowm ciśnięty głębie,  
Uderzał dnem  
O wodę w dole lśniąca  
Cichem zielonem szkłem  
I krew oliwę, jak powiew zwrotników  
Młodej dziewczyny, [gorąca,  
Która, wsparta piersioma pion grubej liny,  
Patrzyła, jak płasząc i świecąc obrzęca  
Wiadro się zanurza  
W głębinę, pokrajając w kręgi, koła,  
Na toni bliski srebrnawie się wdziczają,  
Woda się łamie, rozwiera łono,  
Wiadro się dźwiga,  
Chlustając długą smugą zieloną,  
Która, jak błyskawica,  
Nim zgasnie, w cieniu drzy i miga.

Cała ulica  
Zbiega się, kiedy zachód spadziste oblewa  
schody...  
Dziewczęta długie toczą rozmowy,  
Woda w kubły srebrem się leje,  
Jak owe śmiechy i nadzieje,  
Które z duszy parszają młodej.

Spiewają napełnione chłodną cieczą  
Na niebios równinie [dzbany,  
Pas złoty i różowe pasmo się wywinie,  
Cicho w ulicy pomrok pada szary,  
Nad studnią drobne kładzą komary,  
Białe fartuchy, kwiecień chusty...  
Dziewczęta z ponsowemi usty  
Rozmowy toczą szmerne, poufale...  
Wieczór zapada... bań rozkwiata;  
Królówiec poznał dziewczynę,  
Pokochał ją...  
Wrażenie serca dziewczęta drzą,  
Jak na tanie,  
Gdy wiatr zawiewa, drżą kłosy żyta...  
Lśniąca cicho, czeka dzban pełny przy  
dzbanie.

Nareszcie  
Ciągna dziewczęta do domu sznurem,  
Światelka w oknach ploną na mieście,  
Gwiazdy na niebie spiewają chórem,  
Arkturus mroczny, piękna Vega,  
Niebo gwiazd pełne od brzęga do brzęga!  
Tak pełne gwiazd, jak pełne radosnego  
zdrowia  
Dusze tych, co głowę bują owinawszy  
Czubate dzbany niosą [kosa,  
Wśród gwiazd złotego mrowia.



Polski magazyn ilustrowany  
Marja Skłodowska-Curie. Jak powstał i jak się rozwija instytut radowy w Paryżu. — Wacław Rogowicz. U progu Azji. Z włości po Kaukazie. — Szczepan Jeleński. Astrologia nawspak. — Estewi. Od pawany do tanga. Siedem wieków tańca. Z historii tańca tawarskiego. — Bruno Winawer. Tilly li. Nowela. — Paweł Heuzé. Zagadka zjawisk spirytystycznych. — J. Orzynna. Nowe sposoby badania zdolności zawodowych. — Kornel Makuszyński. Dusze na paradyżie. — Stanisław Małkowski. O kobietach i mężczyznach współczesnych. Chiromancja, frenologia i grafologia oraz ich stosunek do nauk tajemnych. — Antuka. Moda. — Z. Kleszczyński. Miss Kett, modercza.  
Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych, Warszawa, Sienkiewicza 12  
Cena numeru tylko **zł. 1.80**

## Odysseja nieznanego Wschodu

Gen. Bronisław Grabczewski. Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus. Z 82 ilustracjami. Podróż gen. B. Grabczewskiego. Tom drugi. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1924); str. 226 i 1 mapa.

Podróż gen. Grabczewskiego, odkrywcy nieznanych krain Azji Środkowej, nie są „powieściami podróżniczymi”, lecz ścisłym, naukowym pamiętnikiem osobistym, a jednak mimo tego, a może właśnie dzięki temu, przykuwają uwagę czytelnika, zachwycają bogactwem obrazowania, przenoszą w światy nieznanne a piękne.

Grabczewski był pierwszym Europejczykiem, który przeciał Azję środkową i od północy przedarłszy się przez niezbadane Pamiry i Hindukusz, dotarł do źródeł świętej rzeki Indus. A wszystko to opowiada nam skromnie i prosto, bez koloryzacji i fałszywej ornamentyki literackiej, dając cenny wkład do naukowe go piśmiennictwa polskiego i wchodząc jednocześnie do literatury polskiej jako świetny prozaik i najwybitniejszy pisarz podróżniczy ostatnich czasów.

Dzieło Grabczewskiego jest porwijającą (przez swą homerycką prostotę) epopeją. Jest to wspaniała Odyssea tajemniczego Wschodu, gdzie przeprowa na wielbłądach przez rozłukane nurły wod, przedzieranie się przez niedostępne przełęcze, łowy śród gór niebotycznych na groźnego zwierza, nocne napaści tygrysie na spiące obozy, przekradanie się między zbrojnymi bandami — tworzą opowieść piękną a gro na dzięki prawdziwe wspomnień, które przeżywamy.

Ścieżkami, wydeptanymi przez dzikie bestje, przeciskamy się przez wąwozy głazami zasypane, gdzie przy każdym kroku rwą się kamienie z pod nog i z hukiem lecą w przepaść.

Bohatera jest ta podróż w niedostępny kraj, którego mieszkańcy mordują cudzoziemców przez miłość dla swej bezpłodnej i skalnej ojczyzny.

Nieraz podróżnicy musieli przechodzić nad przepaściami po występach skalnych, na których nie mieściła się nawet ich stopa, gdzie przylitywały się twarzą do skały, trzeba było przesuwać się bokiem, czeplając się rękami szczelin skalnych... Wiało się jedynie na palcach rak i nog nad przepaścią i nad szumiącą w głębi rzeką...  
Po mostach, składających się z trzech sznurów, przechodzono rzeki, przeprawiając konie po balkonach skalnych, chwytających się przy każdym kroku, zbliżając się dzień po dniu, choć powoli, do celu — do stolicy Kandzutu i Baltitu.

Wjazd do Baltitu opisany jest mistrzowsko. Widzimy cały obraz przepychu i ceremonjał wschodniego.  
Choroba chana, o której spowodowanie władca Kandzutu posądzał Grabczewskiego, o mało co nie skończyła się tragicznie dla całej ekspedycji. Chan każe się leczyć, bojąc się jednocześnie lekarstw i czarów. W chwili gdy Grabczewski daje mu chininę w żelatynowej kapsułce, schwył go chan za rękę i groźnie zawołał, aby nasz podróżnik sam lekarstwo natychmiast połknął.

„Przygotowałem proszek sody — pisze Grabczewski — i przyprowadzę, że chan nie zechce go wziąć, widział sam. Salder Ali nie mógł zrozumieć, w jaki sposób zimna woda zaogotowała się bez ognia i kipiąc pozostała zimna. Poprosił o taki sam dla siebie, ale w chwili, gdy podałę mu burzący się płyn, zaciął usta tak kurczowo, że zębami odgrzył kawałek porcelany”. W czasie całej choroby chana podróżnicy byli bezustannie śledzeni...  
Grabczewski jest nie tylko nieustraszone badaczem ludów i krajów nieznanych, ale świetnym obserwatorem przyrody, urodzonym myślnym, umiejętnym podglądającym tajemnicę dzikiego zwierza na wolności.

A łowy na jakiegoś górskiego, na kozły skalne, na tygrysy i niedźwiedzie, mają w sobie istotny pierwiastek bohaterstwa, czyniący z opowieści Grabczewskiego epos podróżniczo - łowiecki.  
Dla myślnych dzieło Grabczewskiego jest niewyczerpaną skarbnicą pięknych przeżyć łowieckich, górskich wędrówek po szlakach nieba sięgających, pościgów za rannym zwierzem, tropienia dzikich władców gór i spotkań upragnionych, a tak drogich każdemu młwisiłkiemu sercu.

Przeżywamy wszystkie te wzruszenia i bierzemy udział w opisywanych wydarzeniach. Jesteśmy na polanie, która — ogromna w blasku słońca — z nastaniem zmierzchu skurczyła się, a groźny las przysnuł się i otoczył obóz czarną ścianą. Dwa ognie ploną; podtrzymują je żołnierze stojący na warcie. Obóz zapada w sen. Nagle ryk straszliwy a przerażający bliski porwa wszystkich na nogi. Słychać wyraźnie gulgotanie w gardzieli drapieżnika... Konie stają dęba stając się zerwać z uwięzi... Ognie przygasły... Żołnierze usnęli... W popłochu podsycają ognisko... Odzywa się drugi i trzeci tygrys, trwa straszliwy koncert w mroku nocnym dokoła przerażonego obozu. Poczęto strzelać w mroki, by spłoszyć tygrysy, lecz dopiero blady świt przyniósł ukojenie...

Podziwiać należy znakomitą pamięć czcigodnego autora. Na zasadzie sprawozdań przesyłanych Tow. Geograficznemu w Petersburgu (t. XXV, z 1889 r.), a zawierających ściśle dane, odzwierciedla on całkowicie i szczegółowo obraz dawnych swoich wędrówek, odkryć i przygód.  
Opowieść o odkryciu pokładów nefrytu, kamienia, z którego ongi wykuto grobowiec Tamerlana a o którego kopalnicy nawet ślady zaginęły, — zda się jak wyczarowana bań najpiękniejsza. A jednak opowieść to tchnąca prawdą tak niezbitą, iż nikt autora o fantazje nie posiada. I to właśnie stanowi urok dzieł Grabczewskiego: prawda tak prosta i tak szczerza, iż staje się aż poezją.

Lecz nato, by bez ozdób fałszywych mówić o bohaterskim pochodzie przez najwyższe góry świata, trzeba mieć serce jak te góry wielkie i nieba sięgające...  
Juljan Ejsmond.

## Monografia o Warszawie

Alfred Lauterbach. Warszawa. Z 166 ilustracjami. Okładkę rysował Lech Niemojewski. Warszawa, „Biblioteka Polska”, 1925; str. 4nl. i 231 i 1nl. i 16 tablic.

Dzieło Alfreda Lauterbacha, stanowiące pierwszą monografię artystyczną Warszawy, jest przeróbką pracy tegoż autora, która ukazała się w r. 1918 jako 66-ty tom Seemanowskich „Berühmte Kunststätten”. Przeróbka zastosowana jest do warunków wydania polskiego i gźdzenie gździe dopełniona nowymi odkryciami. Zmianie uległa również strona ilustracyjna. W ten sposób literatura polska pozyskała wreszcie monografię stolicy, w siedem lat po ukazaniu się jej w języku niemieckim.

Autor ujmuje przedmioty w porządku chronologicznym, uwydatniając w dziejach artystycznych Warszawy kilka wybitnych okresów o charakterze odrębnym.



ALFRED LAUTERBACH

Pierwszy jest okres gotycki, rozpoczynający się przeniesieniem zamku obronowego przez Konrada II na brzeg Wisły. U stóp zamku założono wówczas miasto, a jego rynek zachował do dnia dzisiejszego zwykłe kształty średniowiecznych miast zakładanych, t. zn. prostokątną konfigurację z rozchodzącymi się w tego ośrodku ulicami. Zamek i miasto otoczone były murami początkowo pojedynczym, a od r. 1379 podwójnym; w tym samym czasie powstawać jęły przedmieścia, rozszerzające Warszawę w kierunku, równoległym do Wisły. Jedno z przedmieści tych, północne, zamienia się wkrótce na Nowe Miasto; drugie, południowe, początkowo zwane Czernskim, przybiera z czasem miano Krakowskiego.

W r. 1431 pożar zniszczył połowę rynku. Od tego czasu nastąpił zakaz budowania z drzewa w obrębie murów miejskich, a odbudowane wkrótce domy otrzymały rzut poziomy długi i wąski, typowy dla architektury gotyckiej, który przetrwał do dnia dzisiejszego, ulegając tylko zewnętrznym zmianom stylistycznym przeważnie w w. XVII. Z pięciu świątyni średniowiecznych tylko późniejsza katedra i kościół N. P. Marji na Nowem Mieście zachowały do dzisiaj postać gotycką, a one jednak uległy w kolei wieków licznym zmianom.

Renesans nie pozostawił w Warszawie żadnych niemal śladów. Dalszy rozwój miasta datuje dopiero od ostatnich lat w. XVI, mianowicie od czasu, kiedy po pożarze zamku wawelskiego dwór w r. 1595 przeniósł się do Warszawy. Wtenczas to, za Zygmunta III, rozpoczęła się pierwsza poważniejsza przebudowa zamku, trwająca do r. 1621, wtenczas również przybrała większość domów w rynku dzisiejszą swą postać, wtenczas powstał, częściowo lub w całości, szereg kościołów (jezuitów, reformatów, dominikanów).

Następne stadium rozwojowe przypada na czasy Jana III. Najwybitniejszymi budowlami wiekami z tego okresu są: Wilanów i pałac Krasińskich czyli Rzeszpospolitej, z kościelnymi pierwszymi miejscami zajmującymi kościół P. P. Sakramentek oraz św. Bonifacego w Czerniakowie. Na architekturze tego okresu widać ślady wpływów włoskich.

Rządy saskie były dla architektury warszawskiej epoką rozkwitu pałaców. Większość nosi cechy koncepcji francuskiej, w połączeniu z pewnymi pierwiastkami saskimi, przy rodzimym typie rozplanowania, który kształtuje się w tych właśnie czasach.  
Architektura pałacowa rozwija się niemiernie świetnie w epoce Stanisława Augusta, pod którego osobistym wpływem klasycyzm francuski przybiera zupełnie odrębną postać. Najwybitniejszymi budowlami tego okresu są Łazienki, powstałe na miejscu budowli, wzniesionej przez Stanisława Lubomirskiego, oraz wnętrza zamku wraz z biblioteką.

Klasycyzm Królestwa Kongresowego jest w znacznej części dziełem Coraziego. Według jego planów powstaje Bank Polski i sąsiednie budowle, w których mieści się dziś ministerstwo skarbu, oraz Teatr Wielki.  
Ostatnim wreszcie poważniejszym etapem w rozwoju architektury warszawskiej jest pseudo-renesans połowy ubiegłego stulecia, najlepiej reprezentowany przez gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Koniec ubiegłego stulecia i początek bieżącego są okresem zupełnie już bezplanowego eklektyzmu.

Te dzieje artystyczne Warszawy opowiedziane są przez Alfreda Lauterbacha jasno, prosto i z dużą znajomością przedmiotu, która występuje zwłaszcza w rozdziałach, poświęconych klasycyzmowi. Większość ilustracji wypadła bardzo dobrze, chlubnie świadcząc o wysokich ambicjach wydawniczych „Biblioteki Polskiej”.  
wh.

## Tania książka

Masowy zbytniej taniej, dobrej książki polskiej, konieczność stałego trafiaania jej do jak najszerszych mas czytelnich, a przedewszystkiem do kół spaperyzowanej inteligencji pracującej, musi stać się drogowskazem dla księgarzy i wydawców.

Pierwsza, która odważnie zwałała mur drożyzny, jak widmo wystający między książką polską a rwącym się do niej inteligentem, jest Biblioteka Dzieł Wyborowych. Wystąpiła ona z fachową i systematyczną realizacją rewolucyjnego w dziedzinie naszego handlu księgarskiego hasła — obniżenia do minimum ceny dobrej i estetycznie wydanej książki i oparcia kalkulacji na masowym zbytku. Ta stara Biblioteka Dzieł Wyborowych, założona jeszcze w r. 1898, została z wielkim rozmachem wznowiona w dn. 1 października ub. r. pod redakcją dr. Stanisława Lama. Odtąd co tydzień regularnie wydaje tom wartościowej lektury w trwałej oprawie z wycłozonym złotem tytułem na okładce i grzbiecie — za 1 zł. 23 gr. w prenumeracji lub za 1 zł. 90 gr. w sprzedaży poza prenumeratą. Niektóre tomy są ilustrowane; należą tu m. in. sensacyjno-aktualny „Dramat w wielkim świecie” P. Bourgeta, „Romantyczny włóczęga” nieznanego dotychczas naszemu ogółowi, oryginalnego i subtelnego współczesnego pisarza belgijskiego, A. t'Serstevensa; wybitnie pożyteczna praca W. Husarskiego p. t. „Malarstwo nowoczesne” zilustrowana jest 30 reprodukcjami obrazów najcharakterystyczniejszych reprezentantów nowoczesnego malarstwa; reprodukcje te, na francuską modłę wydawniczą, nie są rozsypane w tekście, lecz tekst poprzedzają. Z rozmysłu kładę akcent na realizację pomysłu tanioci dobrej książki i estetykę książki taniej. A jacy pisarze i jakie utwory, poza wymienionymi, są wydane? Więcej z naszych pisarzy mamy: Makuszyńskiego szereg humoresek „Pięte przez dziesiąte”, Winawera nową powieść „Doktor Przybram”, przygody podróżnicze w Brazylii polskiego oficera — M. B. Lepeckiego „W krainie jaguarów”; z utworów obcych m. in. głośną powieść P. Moranda „Lewis i Irena”, „Kolombe” Merimé w tłumaczeniu Boya. Rok 1925 wydawnictwo szczególnie zapoczątkowało „Przysięga” Remyonta.

„Biblioteka” cieszy się już bardzo dużą poczytnością, zdobyła wielkie powodzenie, zainteresowała rozległe koła czytelników. Zwycięstwo jej jest zwycięstwem sprawy książki polskiej.

W wydawnictwo „Biblioteki” włożył całą pasję redaktor jej, Stanisław Lam, znany krytyk literacki i jeden z nielicznych u nas teoretyków spraw bibliofilskich. On miał prawo moralne zwrócić się do śniejdzących nieraz w rutynie księgarzy naszych m. in. z następującym ironicznym zapytaniem: „Czy wielu księgarzy w Polsce pomyślało nad tem, jak książkę wyprodukować tanio, udostępnić ją w ten sposób, podwyższając ją drogą liczbę nakładu, który naturalnie będzie kalkulował się znacznie niżej... Ilu... księgarzy z własnej inicjatywy zaczęło obliczać nie zysk, lecz ilość egzemplarzy, które może rozprzedać przy najintensywniejszej propagandzie książki?” W świetle surowych, ścisłych rozważań ujawniony został nie kryzys książki, jeno — legenda o tym kryzysie („Legenda o kryzysie”, w nr. 47 „Wiadomości Literackich”).

W dobre i pomyślne i dla wydawcy i dla czytelnika ślady Biblioteki Dzieł Wyborowych, równie jak poprzednie wydawnictwo — szczęśliwie, wstąpiła zaśluzona firma E. Wende i S-ka. Dziś już Biblioteka Groszowa Wende go posiada usprawniłowioną, szeroką popularność. Za 95 groszy (właśnie za złoty bez 5 groszy polskich — co dla psychologa nabywającego powinno mieć i ma głębokie znaczenie!) otrzymuje się tom dobrej literatury w kolorowej okładce rysunku K. Mackiewicz. Na początek poszedł Jack London („Na szlaku”, „Opowieści Mork południowych”, „Syn słońca”, „Zew krwi”) — więc beletrystyka dla szerokiej mas, pełna interesującej egzotyki, ożywcza i życiu rada. Może po to mamy sięgnąć już bez zbytniego uszczerbku dla swego budżetu przeciętny inteligent polski, dla którego te same utwory daremnie wdziczyły się dotąd za szymba wystawową, gdy w poprzedniej, zwykłej edycji kosztowały 4—5 zł. Biblioteka Groszowa Wende nie określa terminów ukazywania się poszczególnych tomów.

Wraz z rozpowszechnianiem się omawianych edycji zadany zostaje cios prosto w zle serce wszelakich ohyd spekulujących na ciemnocie mas ciemnych indywidualiów: trujących dusze wydawnictw kryminalnych, sensacyjnych, pornografij zamaskowanych i niezamaskowanych.

Tania, dobra książka i jej szerokie rozpowszechnienie nie jest już w Polsce mitem.

Marceli Poznański.

**ZYGMUNT POMARAŃSKI i S-ka**  
Księgarnia nakładowa w Zamoczu  
oddział w Krasnymstawie, Włodzimierzu  
i w Warszawie, Marszałkowska 52  
(tel. 161-31)

poleca NOWOŚĆ: powieść  
**ANTONIEGO WYSOCIEGO**  
**ZABAWY MĘDRCÓW**  
Cena 4 zł.

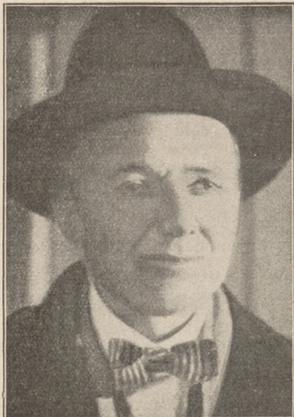
## Z Salonu Warszawskiego Tow. Artystycznego

WOJCIECH WEISS:  
HelenaSTANISŁAW RZECKI:  
DianaZOFJA WĘGIERKOWA:  
Praczi w KazimierzuBRONISŁAW KOWALEWSKI:  
Krajobraz

## Ruch teatralny

**Teatr im. Bogusławskiego:** „Pasterka wśród wilków”, pastorałka w 5 sprawach podług żywota św. Hermany, przez Henryka Ghéona napisana, na język polski przez Franciszka Siedleckiego przełożona, w kształt sceniczny przez L. S. Schillera ujęta, ozdobiona obrazami Andrzeja i Zbigniewa Pronaszków, muzyka L. M. Rogowskiego, oraz śpiewami gregoriańskimi w opracowaniu x. Henryka Nowackiego.

Nie ulega wątpliwości, że dialogowana opowieść Henryka Ghéona o „pasterce wśród wilków” nie jest misterjum,



HENRYK GHÉON

przynajmniej misterjum w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, że jest to tylko echo dawnych, średniowiecznych miraculów o świętych Pańskich i legend dramatycznych. Przypuszczać należy, że i kierownictwo Teatru im. Bogusławskiego nie miało co do tego złudzeń, gdyż nazywając, w wydanej przez siebie ulotce, jedynym nowoczesnym misterjum — „Dziady” Mickiewicza, sam samemu osadziło „misteryjność” Ghéona. Uczyniono to słusznie. Ghéon jest mniemania, że galwanizowanie starych, może nie umarłych, lecz nie obowiązujących form, to droga do odrodzenia misterjum, — gdy nowe czasy żądają nowej formy wypowiedzi dla współczesnej „świadomości” religijnej. To właśnie uczynił Mickiewicz, o tem ani się sniło Ghéonowi. Ale jakkolwiek wyglądałoby nowoczesne misterjum, to pewna, że nie może w nim braknąć elementu tragicznego, tego właśnie pierwiastka, którego brak Ghéonowi, a którym odznaczają się dzieła Claudela, o „Dziadach” już nie mówiąc. „Pasterka” — to naiwny „żywot” skonstruowany według równie naiwnej metody „metre par personnages”, stosowanej przez dawnych pisarzy misterjów. Dlatego „Pasterka” jako utwór poetycki apeluje do uczuć religijnych nowoczesnego widza czy słuchacza, ale ich nie wyraża. W tem zawarta jest cała religijność i „misteryjność” tego dzieła. Lecz przynajmniej trzeba, że i ta zdolność apelowania nie jest bez znaczenia, może służyć za podstawę do stworzenia rzeczywistego misterjum — teatralnego. Tak właśnie stało się w Teatrze im. Bogusławskiego.

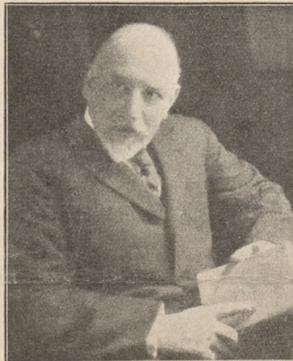
Dlatego słusznie powiedzieć można, że twórcą tego misterjum był nie Ghéon, ale inscenizator „Pasterki”, p. Schiller. Proszę wyobrazić sobie utwór ten w interpretacji pierwszego z brzegu teatru, w t. zw. „realistycznej” oprawie: w tem ujęciu scena nie potrafiłaby narzucić widowni ani jednego wzruszenia. W Teatrze im. Bogusławskiego było inaczej. Tu naprawdę przejmował nieraz widza święty dreszcz, lecz nie było to zasługą tekstu; to kształt sceniczny taką posiadał moc i on to wypowiadał uczucia religijne widza. Wystarczy przypomnieć sobie którykolwiek z mimicznych momentów, by przekonać się, że misterjum, jakie odbywało się na scenie, działo się za sprawą teatru — i tylko teatru. I to właśnie stanowi najciekawszą stronę tego widowiska.

Nie będziemy mówili, w jaki sposób to osiągnięto. Z tajemnic tych wypowiedzi był sam teatr w swej ulotce, mówiąc o umowności gestu i głosu, o świadomej i doskonałej prymitywności dekoracji Pronaszków i o celowym stosowaniu muzyki. Tu chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę na pewien ton zasadniczy, pewien „porządek” wewnętrzny przenikający całe widowisko. Każdy ruch, każde natężenie głosu poddane zostało temu porządkowi, było tego porządku wyrazem. Nawet sceny realistycznie ujęte w utworze Ghéona nie wychylały się, jeśli się tak wyrazić można, poza ramy kapliczki, w której rozgrywało się misterjum; wszystko objęte zostało żelaznym prawem koordynacji wysiłków każdego poszczególnego wykonawcy: reżysera, aktora, malarza, muzyka. Dzięki temu widowisko posiadało to, czego nie posiada prawie żadne z przedstawień: charakter. I to tłumaczy nam, dlaczego p. Schiller skłonił się do opracowania tego błędnego utworu. Nawiązując do form liturgicznych, pokazał nam, co znaczy jednolitość koncepcji widowiska, co znaczy, by już użyć tego wyswiechtanego słowa, styl. Dlatego „Pasterka” — to jeden z ważnych etapów walki o polski styl sceniczny, jaką prowadzi p. Schiller i Teatr im. Bogusławskiego. Misterjum Ghéona czy Szekspira (bo jak misterjum potraktowano „Opowieść zimową”) — to najwygodniejszy punkt wypadowy dla dążenia, którego celem być musi stworzenie polskiej formy teatralnej, będącej scenicznym odpowiednikiem polskiego wielkiego dramatu. Wystawienie „Kniazia Piatomkina”, wolno nam przypuszczać, będzie dalszym etapem tej celowej pracy. A teraz parę słów o wykonawcach.

Z zadowoleniem stwierdzić mogliśmy, że młody i „niedoświadczony” zespół Teatru im. Bogusławskiego w zupełności sprostał zadaniu, jakie nań spadło. Potrafił być posłusznym i inteligentnym narzędziem w ręku reżysera, a to nie jest mało. Aktoży jednak nie zmienili się w kukły, każdy z nich, mimo nakazu umowności, żył swem indywidualnym życiem; to również wielki triumf zarówno aktora jak i reżysera. Gra ich była równie daleka automatyzmowi „biomechaniki” jak i improwizacji aktorskiej; ale przez każdy ruch, każdy ton przemawiał prawo rządzące całością, któremu widowisko zawdzięcza swój charakter. W granicach tej bezcennej dyscypliny pp. Strońska, Mysłowska, Kunina, Kunciewiczówna, Hohendlingerówna, Boniecki, Strachocki, Brodzikowski i inni znaleźli dość miejsca, by błysnąć swą inwencją twórczą. Muzyka L. M. Rogowskiego i śpiewy gregoriańskie układu x. Nowackiego stanowiły doskonałą ilustrację tego widowiska. Osobna wzmianka należy się p. Seblowi, który raz jeszcze dał dowód, jak świetnie dysponować umie światłem, odgrywając tu rolę nie mniejszą od każdego z aktorów.

**Teatr Mały:** „Gra”, komedia w 3 aktach Ludwika Pirandello; przekład Leona Chrzanowskiego, reżyserja Aleksandra Wygięki, dekoracje St. Śliwińskiego.

Złuda, którą nazywamy rzeczywistością, z godziną na godzinę przybiera inne kształty. Pirandello stara się przekonać nas, że wszystkie atrybuty rzeczywistości są bezwzględnie iluzjami, twórcami naszego intelektu. Po drugie usiłuje Pirandello przedstawić charakter ludzki jako fikcję i sprowadzić indywidualizm do pierwotnego strumienia zwierzęcych popędów, impulsów i instynktów. W sztuce współczesnej przywykliśmy do pewnych konwencjonalnych schematów, które powoli artysta konkretyzuje i napelnia treścią. Metoda Pirandella jest



LUDWIK PIRANDELLO

wprost odwrotna. Na początku sztuki daje wrażenie konkretnego, uformowanego charakteru, z którego skreśla po kolei składowe atrybuty i cechy, tak że pod koniec przedstawienia widzimy na scenie jakiegoś beczelniego ducha w rodzaju Ersilii Drei, która po trzech wysiłkach skonstruowania swojej indywidualności załamuje się — a na scenie pozostaje ktoś nagi: „Nikt”. Zaczynamy od iluzji charakteru, a kończymy na rzeczywistości życia.

Jako mistrz metafizycznego paradoksu, Pirandello rozwija uparcie pewien problemat w ramach gry teatralnej. Problemem tym jest zagadnienie wiecznego konfliktu między naturą, życiem a formą; konstrukcja, która sobie każdy z nas tworzy jako zapórę przed chaosem istnienia. Zmienność tworzy bieg zjawisk świata, nie można wstąpić dwa razy w tę samą wodę rzeki, gdyż ciągle przepływa inna — mówi filozof grecki, Heraklit. Życie jest czymś absolutnie nieuchwytnym i płynnym. Świadomość ludzka usiłuje to coś uzałuszyć od siebie i skontrolować intelektem... Mamy więc z jednej strony ślepy ped życia, dynamikę, bergsonowski „élan vital”, z drugiej strony — świat form konstrukcyjnych, starających się o zatamowanie burzliwej fali. Każda forma jest śmiercią dla Pirandella, a poznawanie — to znaczy umieranie. Komu się życie w poznaniu rozdzieli, ten okiem krytycznym będzie musiał patrzeć na nasze prozowizja, przypadkowej i formy zaktualizowane... Idea prawdziwej mądrości życia będzie polegała na tem, aby nie stać się niewolnikiem żadnej formy. Można żyć w nich, wierzyć w nie, ludzi się, ale trzeba przechodzić od jednej do drugiej, zachowując płynność duszy.

Vitangelo Moscarda („Jeden, nikt, sto tysięcy”) próbuje życia w jego absolutnej, pierwotnej nagości, Don Cosmo Laurentiano („Stary i młodzi”) wyrwa z duszy zasadę indywidualną, pragnąc życia dla drugich, a Leon Gala („Gra”) robi wszelkie wysiłki, aby istnieć jak najmniej. „Tu los zawinił; co robić — urodziłem się, a kiedy taki fakt się zdarzy, niema rady; jesteś jak uwięziony. Istniej! Ludzie powinni brać to pod uwagę... Każdy z nas gra grę życia. Pragnę się zadowolnić już nie własnym życiem, ale patrzeniem na życie innych ludzi, a czasem spojrzaniem z zewnątrz na tę odrobinę własnego życia, którą przecież zmuszeni jesteśmy przeżyć”. Ponieważ jednolitość charakterologiczna — to tylko przejściowy wrzaz, jeden moment w płynnej ciągłości życia, — przeto w człowieku istnieje nieskończona możliwość form i ekspresji, z których jedna w danej chwili się aktualizuje. Każda osobowość nosi w sobie chaos nieokreślony i sprzeczny, każdy człowiek nakłada sobie maskę na twarz, dobrowolnie albo też pod przymusem życia. Maskę na twarz, maskę kompletnej obojętności i chłodu, nałożył sobie także typowy człowiek Pirandella, Leon Gala, i dopiero w akcie trzecim spłot zdarzeń zmusza go do ukazania nam prawdziwego oblicza i duszy, dyszącej żądzą zemsty. Żądza ta dowodzi, że miał serce, tak jak i jego nieodrodny brat Baldovino w „Rozkoszy uczciwości”, że mieliśmy do czynienia nie tylko z kuklą. Na Leonie Gala skupia się cała uwaga; Gvido i Sylja — to pajacyki i błazenki, rzucające się uciecznie na powierzchni życia, gdy „szyderczy demon”, Leon, za sznurkę pociągnie. Życie pozbawione sensu odzwierciadla się w „Grze”, jak i we wszystkich sztukach Pirandella, jako jakiś absurdalny kołowrót... niema tu procesu psychologicznego, regulowanego prawem postępu, są tylko śmiertelne skoki, sprzeczności i zerzenia nieoczekiwane... Sztuczność założenia forsowana jest na scenie z całym uporem. Gdyby nie było skorupki od jajka, nie byłoby i sztuki. Zresztą nie o to tu chodzi, skoro cały dramat Pirandella sprowadza się zawsze do „wewnątrz”.

Z wykonawców pp. Stanisławski, Fritsche i Neubelt dali kreacje doskonałe, p. Grabowski nie wiedział co ma zrobić ze sobą, w p. Paniewiczowej (zwłaszcza w akcie pierwszym) czuło się sztuczność i nieszczerść. Przekład p. Chrzanowskiego oddaje doskonale nerwy, sturutowany dialog Pirandella. Nareszcie pierwszy artystyczny przekład, odbijający dodatnio od tłumaczeń dotychczasowych.

Edward Boyé.

**Teatr Letni:** „Kurnik”, komedia w 3 aktach Trystana Bernarda; przekład Bohdana Wydygi, reżyserja A. Fertnera, dekoracje A. Aleksandrowicza.

Teatry warszawskie mogą poszczycić się niezwykle wysokim poziomem repertuaru: na pięć teatrów cztery grywają systematycznie utwory klasyczne i t. zw. „literackie”. Słowacki, Fredro, Kisielewski, Szekspir, Zorilla, Shaw, Romain Rolland, Chiarelli, Pirandello — oto nazwiska na codzień. Trzeba więc z całą sprawiedliwością przyznać, że w tak poważnym sezonie publiczności warszawskiej należy się ta chwila roz-



TRYSTAN BERNARD

rywki, jaką daje jej Teatr Letni pod wesołym kierownictwem p. Fertnera. Wystawiony tam ostatnio „Kurnik” jest cprawda ekstraktem sprośności, ale jednocześnie — majstersztykiem rzemiosła scenicznego: Trystan Bernard konstruuje tu wzorową technikę teatralną, która pozwala mu z jednego tematu zbudować sztukę — jedność akcji jest w niej zachowana niczym w tragedji klasycznej. „Kurnik” grany był doskonale przez czolowe siły farsy; z młodszych sił wyróżniła się przesliczna p. Gorczyńska, której talent rozwija się coraz bardziej i czeka laurów w prawdziwej komedji.

## Claudel w Krakowie

Kraków, w styczniu 1924.

Teatr im. Słowackiego odważył się na czyn heroiczny; pierwszy w Polsce (a przyszłość okaże, czy nie jedyny?) zdobył się na pokazanie światu „Zwiastowania”. Mówię dlatego — „heroiczny”, ponieważ zgóry można było przewidzieć, że nawiązka do codziennej strawy teatralnej publiczności, publiczność, której stare bogi obumarły, a nowe jeszcze się nie narodziły, podejdzie do tego misterjum nieufna, obca i w gruncie rzeczy wroga. Zresztą doświadczenia w ojczyźnie poety, w Francji, w „Théâtre de l'Oeuvre” w Paryżu, jak również w teatrze Dalcroze'a pod Dreznem, w teatrze frankfurckim i w teatrze kameralfnym Tairowa w Moskwie, potwierdzają te przewidywania.

I nic dziwnego. Ofiara słodkiej Violeny, wyrzeczenie się miłości własnej, cudowne misterjum łaski, spływającej na człowieka, oddającego się w zupełności Bogu, jest czymś zbyt odległym dla pokolenia, które przyzwyczaiło się za najwygodniejszy argument uważać jedynie bałnet i granat ręczny. Jakżeż tu takiemu

„ZWIASTOWANIE” CLAUDELA  
w Teatrze im. Słowackiego

pokoleniu uwierzyć, że „nie życie jest celem, ale umieranie, nie ciosanie krzyża, lecz wstąpienie nań i oddanie tego, co posiadamy, z usmiechem”? „Jakaż wartość ma świat wobec życia?” — pyta Annie Vercors. „I w czemże jest wartość życia, jeśli nie w tem, że się je oddaje? I poci troszkę się, kiedy tak proste jest s'uchać?” Trzeba istotnie dochować w sobie całą moc entuzjazmu, duszę prostaczka i nienaruszoną wiarę dziecka, trzeba wskrzesić w sobie zdolność przeżywania dawno wystygłych uczuć, aby odnaleźć się w tej zimnej, ale przezroczej atmosferze, aby zasmakować w surowej, ale jakże prostej i nieznaną odchylen ani zbrocen wierz, że wszystko jest dobrze tak jak jest, i że „wszystko ma swe miejsce, które nie może być inne”. I nie wystarczy zasmakować. „Niech nikt nie sadi, — powiada Jakób Riviere o Claudelu, — że można mu ofiarować chłodny podziw! Nie żąda on bynajmniej przyzwolenia naszego smaku; domaga się zbroczy naszej, aby Bogu ją oddać; pragnie wymusić naszą zgodę wewnętrzną; chce wyrwać nas, naprzekór nam samym, z ohdy wątplenia...”

A to mu się nie udaje. Tem bardziej, że Claudel-filozof krzywdzi Claudela-dramaturga. Teatr, który stworzył, pomysły jako ucieczka przed naturalizmem, teatr operujący formami misterjum średniowiecznego, jest jednak mimo wszystko — teatrem i jako taki rządzi się swoimi niewzruszonymi prawami, z których najważniejsze bodaj jest: gradacja, nieosiągnięcie wrażeń. I tu leży główna przyczyna scenicznego niepowodzenia „Zwiastowania”. Strzelista budowa gotyku traci, jeśli ją ostroń koroną chochy w najdojrzalsze owoce strojnych drzew. A tak, niestety, uczynił Claudel. Po scenie w grocie, która jest punktem szczytowym dramatu, godzina cudu narodzenia się Dzieciątka przez ból i cierpienie, obłudna łuk napięcia i z kolcanu duszy do bywa takich strzał tylko, które godzą w intelekt czytelnika, a nie w serce widza. Cała przepiękna odsłona ostatnia, pełna męskiej dojrzałości ducha, przepojona bogactwem idei, jak ul miodek, jak sad jezienny owocem, jest brzemieniem, pod którym załamuje się sceniczna postać dramatu.

A szkoda. Bo wystawiono „Zwiastowanie” w Krakowie z troskliwością, przynoszącą zaszczyt reżyserji dyr. Trzcinińskiego. Pomijam już sam fakt wyprzedzenia się w kostiumach na postaciach ołtarza marjackiego. (Jest w tem może pewne nieporozumienie, boć inny jest strój i mieszkanie Stwoszewego mieszczańszanora norymberskiego, a inny chłopca burgundzkiego ze „Zwiastowania”). Choć kto wie, czy nie porozumienie rozmyślnie? Może chciano w ten sposób uprzestępnąć, zbliżyć misterjum tym, którzy ten ołtarz z codziennej autopcji znają?). Ale odsłony takie, jak rozstanie się trędowatej Violeny z domem rodzinnym, jak scena leśna przed koronacją Karola VII, czy niema scena wędrowki obu siostr przestępnieżony las, są prawdziwymi majstersztykami sztuki scenicznego. Nie tu nie rozali. Ton, barwa i gest zlewały się w jedną, nieskazitelną całość. Nie było postaci, nie było ludzi, było — symbole.

Pod przypadkową pokrywą tych słów i tych gestów czuło się coś, co nie przemija nigdy, lecz trwa i płonie bez końca.

Uboży w środki materialne teatr krakowski, pozabawiany rok rocznie systematycznie przez stolicę najwybitniejszych sił artystycznych, nie rezygnuje. Walczy. Przynajmniej w zakresie repertuaru. „Romans zeszytowy” Kaisera, „Zwiastowanie” Claudela, „Hidalla” Wedekinda, a w dalszym planie „Juljus Cezar” Szekspira, „Święta Joanna” Shawa, (komuna sprawiedliwych” Jewreynowa (pod osobistą reżyserja autora)—to tytuły i nazwiska, które coś mówią. Widać, że entuzjazm kierownictwa też coś znaczy w teatrze.

Aleksander Ameisen.

ZOFJA ROGOSZÓWNA  
PIOSENKI DZIECIEŃCE  
Muzyka Stanisława Colony-Walewskiego  
OKŁADKA I OZDOBY  
EDMUNDA BARTŁOMIEJCZYKA  
Cena zł. 12.—  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA



# Kino „ROCOO”

(Nowy Świat 63)

## Nad grobem nieznanego żołnierza

### II serja „Königsmark“

W 2 KINACH  
**NOWY WODEWIL**  
Marszałkowska 125 Nowy-Świat 43



LON CHANEY  
w roli garbusa Quasimodo

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

## MIECZYŚLAW GURANOWSKI OFIARA KRWI

NOWELE

OKŁADKA EDMUNDA BARTŁOMIEJCZYKA

NAKLAD F. HOESICKA

CENA ZŁ. 5.—

## Tydzień bibliograficzny

informacje dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

### Powieść, nowela

Alfons Daudet. Safo. Powieść. Tłuma-  
czył z francuskiego Bronisław Sielski.  
Lwów, „Globus”; str. 168. Zł. 3.—

Iłja Erenburg. Cztery fajki (z cyklu  
„13 fajek”). Przełożył z rosyjskiego B. Ja-  
cek Frühling. Warszawa, „Książka”; 1925;  
str. 64.

Biblioteka Laureatów Nobla pod re-  
dakcją dra Stanisława Lema. Tom 12.  
Knut Hamsun. Błogosławieństwo ziemi.  
Powieść. Wydanie drugie. Poznań, Wy-  
dawnictwo Polskie, 1925; str. 4nl. i 454  
i 6nl.

V. Blasco Ibanez. Krew na arenie.  
Powieść. Z hiszpańskiego przełożyli Wa-  
claw Budzyński i Edward Tymński. Ok-  
ładkę projektował Jerzy Sosnkowski.  
Warszawa, Edward Rogoziński, 1925; str.  
8nl. i 367 i 1nl. Zł. 5.—

Przez Łady i Morza. Tom I. Critten-  
den Marriot. Wyspa zaginionych okre-  
tów. Powieść. Przekład Wiktora Waltera.  
Warszawa, Kazimierz Paszkowski; str.  
223 i 1nl. Zł. 5.—

Michał Róg. Synowie wsi. Warszawa,  
Ludwik Chomiński, 1925; str. 4nl. i 172.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Red-  
aktor Stanisław Lam. Tom XVI. Andrzej  
Strug. Z powrotem. Warszawa, (1925);  
str. 173 i 4nl.

Tajemnica domu towarowego. Po-  
wieść. Podług amerykańskiej komedji  
Bayarda Veillera napisał Aniela Kallas.  
Lwów, „Globus”; str. 172. Zł. 3.—

Jan Wiktor. Burek. Przemysł, „Pło-  
mień”; str. 240. Zł. 6.

Antoni Wysocki. Zabawy mędrców.  
Powieść. Zamość, Zygmunt Pomarański i  
Spółka, (1925); str. 197 i 3nl.

### Poezja

Józef Aleksander Gałuszka. Gwiazda  
komandorji. Okładka Zygmunta Króla.  
Kraków, 1925; str. 64.

Paweł Granicki. Modlitwa traw. Lwów,  
„Wszczęchwiat”; 1925; str. 62 i 2nl.

Janina Hirschauerowa. Bogu, ludziom  
i sobie. Warszawa, „Brzask”; 1924; str.  
4nl. i 96. Zł. 2.—

Antoni Malczewski. Marja. Powieść  
ukraińska. Ze wstępem i objaśnieniami  
Aleksandra Brücknera. Lwów, Zakład  
Narod. im. Ossolińskich, 1925; str. XL i  
88 i 2nl.

Juliusz Słowacki. Dzieła wszystkie.  
Pod redakcją Juliusza Kleina. Dział  
pierwszy. Utwory wydane za życia poety.  
Tom I. Stowo wstępne Zakładu Nar. im.  
Ossolińskich. — O metodach wydania  
„Dzieł wszystkich” Słowackiego — napi-  
sał Juliusz Kleiner. — Tom pierwszy poe-  
zyi; Powieści poetyczne. — Tom drugi  
poezji; Poezje dramatyczne — opracował  
Józef Ujejski. — Bibliografię opracował  
Wiktor Hahn. Lwów, Zakład Narodowy  
im. Ossolińskich, 1924; str. 4nl. i V i 1nl.  
i XXXIV i 483 i 5nl. — Tom IV. Ballady-  
na — Mazepa — Lilla Weneda (wraz z  
Listem do Aleksandra H. i Grobem Aga-  
memnona) — opracował Juliusz Kleiner.

Bibliografię opracował Wiktor Hahn.  
Tamże; str. 4nl. i 610 i 2nl. Po zł. 16.—

Juliusza Słowackiego Samuel Zborow-  
ski. Dramat fantastyczny, Transkrypcja  
sceniczna Cezarego Jelleny. Winieta An-  
drzeja Pronaszki. Warszawa, „Rapsod”,  
1924; str. 137 i 3nl.

### Historja, pamiętniki, polityka

Dr. Stanisław Morawski. Kilka lat mło-  
doci mojej w Wilnie (1818—1825). Wy-  
dał Adam Czartkowski i Henryk Mości-  
cki. Z 24 ilustracjami. Warszawa, „Bi-  
blioteka Polska”; (1925); str. XVII i 1nl.  
i 541 i 1nl.

Zyciorysy Zasłużonych Polaków Wie-  
ku XVIII i XIX. J. H. Dąbrowski przed  
wyprawą do Wielkopolski 1794 roku. Na-  
pisał A. M. Skalkowski. Poznań, Księ-  
garnia Uniwersytecka, 1925; str. 44 i 4nl.  
Zł. 2.50.

Zyciorysy Zasłużonych Polaków Wie-  
ku XVIII i XIX. Kościuszko w świetle  
nowszych badań. Napisał A. M. Skal-  
kowski. Poznań, Księgarnia Uniwersytec-  
ka, 1924; str. 48 i 4nl. Zł. 2.50.

Polska a protokół w sprawie pokojo-  
wego rozwiązania sporów międzynarodo-  
wych. Mowy ministra spraw zagranic-  
nych dra Al. Skrzyńskiego. Wrzesień-li-  
stopad 1924. (Warszawa); str. 31 i 1nl.

Marjusz Zaruski. Na morzach dale-  
kich. Kartki z pamiętnika marynarza Po-  
laka. Wydanie drugie powiększone, z il-  
stracjami autora. Warszawa, M. Arct,  
1925; str. 2nl. i X i 2nl. i 263 i 7nl. Zł. 9.—

### Prawo, nauki społeczne

Prof. Leon Petrażycki. O pobudkach  
postępowania i o istocie moralności i  
prawa. Warszawa, K. Wojnar i Sp.;  
str. 89 i 3nl. Zł. 3.—

Rudolf Sohm. Instytucje, historia  
i system rzymskiego prawa prywatnego.  
Przetłumaczyli według 17-go wydania  
dr. R. Taubenschlag i dr. Wł. Kozubski.  
Część pierwsza. Źródła i nauki ogólne.  
Warszawa, „Biblioteka Polska”; 1925;  
str. VIII i 245 i 3nl. Zł. 10.—

### Miscellanea

Eugenia czyli o dobrem zrodzeniu się  
wewnętrznej kobiety. Napisał Józef  
Jankowski. Warszawa, J. Lisowska, 1925;  
str. 104. Zł. 3.—

Zdzisław Kleszczyński. Raid. Rysunki  
Tadeusza Gronowskiego. Warszawa, Kom-  
misja Sportowa Polskiego Klubu Automo-  
bilistów, 1924; str. 62 i 2nl.

Księga pamiątkowa powstania wielko-  
polskiego. Redagował: Kazimierz Ulałow-  
ski. Okładkę zdołił: Leon Dolżycki. Byd-  
goszcz, Okręg Bydgoski Związku Tow.  
Powstańców i Wojaków, 1925; str. 168  
i 88 i 1 rycina. Zł. 10.

Pisarze polscy kresom zachodnim.  
Warszawa, Związek Obrony Kresów Za-  
chodnich, 1925; str. 136. Zł. 3.—

Zofja Rogożówna. Piosenki dziecię-  
ce. Muzykę na tle motywów ludowych  
napisał Stanisław Colonna - Walewski.  
Zeszyt graficznie zdołił E. Bartłomiej-  
czyk, nuty pisał A. Krański. Warszawa,  
Gebethner i Wolff, 1924; str. 60 i 2nl.  
Zł. 12.—

Dr. Henryk Ułaszyn. Kościół katolicki  
a wolność badania i nauczania. Oddbitka z  
„Przeglądu Warszawskiego”. Poznań,  
1924; str. 4.

Książki dla młodzieży

H. C. Andersen. Świniarek i królewna.  
Warszawa, „Źródło”, (1924); str. 22nl.  
Zł. 9.25.



„UNDERWOOD  
PORTABLE”  
NAJLEPSZA MAŁA  
MASZYNADO PISANIA  
G. GERLACH  
WARSZAWA — OSSOLIŃSKICH 4

### PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY

Miesięcznik dla wydawców, księgarzy,  
antykwarjuszów, jako też czytających  
i kupujących książki

Założony w roku 1878  
Wydawany przez Bibliotekę Zakładu  
Narodowego im. OSSOLIŃSKICH  
we Lwowie

Komitet redakcyjny stanowią:  
Władysław T. Wisłocki, Mieczysław  
Gębarowicz i Kazimierz Tyszkowski

Prenumerata wynosi: rocznie zł. 36.—,  
półrocznie zł. 18.—, kwartalnie zł. 9.—,  
pojedynczy zeszyt zł. 3.—

Adres redakcji: Lwów, Ossolińskich 2,  
tel. 85. Konto w P. K. O. 141.599

Administracja: Kalcza 5, tel. 12-22

Filija administracji w Warszawie:  
Księgarnia Zakładu Narodowego  
im. OSSOLIŃSKICH,  
Nowy-Świat 69, tel. 198-81

Konto w P. K. O. 66.58

### Tom IV serji II Biblioteki Dzieł Wyborowych:

## ANDRZEJ STRUG Z powrotem

Cena w prenumeracie

1 zł. 23 gr. (w oprawie)

### TEATR QUI PRO QUO dziś i codziennie Program składany udział całego zespołu

### BIAŁORUŚ

POEZJE  
LEONARDA PODHORSKIEGO-OKOŁOWA  
Cena zł. 1.20

### ANIA Z AVONLEA

L. M. MONTGOMERY  
Wydawnictwo B. Rudzkiego  
Karton cena 6 zł.

Dr. med. BERLIS Wierzbowa 9  
(pl. Teatral-  
ny) weneryczne, skórne, niemoc płciowa.  
Do 9 r., 2—8 w. Panie 4—5; tel. 105-42.

CZYTELNIA (Piękna 29). Nowości pol-  
skie, rosyjskie, francuskie.

### ROSYJSKIE WYDAWNICTWO I KSIĘGARNIA



### „PŁAMIA”

WARSZAWA, NIECAŁA 4, TEL. 151-39

NADESZYŁY NASTĘPUJĄCE NOWOŚCI:

Wodowozow — Nowa Europa  
Prawo Rosji Sowieckiej w 2 tomach — zbiór  
Kisewetter — M. S. Szczepkin (epizod z historii rosyjskiej  
sztuki dramatycznej)  
Czernow — Socjalizm konstrukcyjny  
Margueritte — Nowe pokolenie — powieść (córka „chłopcy-  
cy” i swn „towarzysza”)

### ADMINISTRACJA MIESIĘCZNIKA

## M U Z Y K A

OGŁASZA NINIEJSZEM PRENUMERATĘ NA ROK 1925

na warunkach następujących:

ROZNIEM zł. 14.— } z przesyłką  
PÓŁROCZNIE zł. 7.50 } pocztową  
KWARTALNIE zł. 4.— }

Zagranicą: rocznie zł. 18.—, półrocznie zł. 9.50, kwartalnie zł. 5.—  
Cena pojedynczego numeru zł. 1.50

MUZYKA wychodzi w końcu każdego miesiąca pod redakcją Mateusza Glińskiego w zeszytach objętości około 50 str. druku i zawiera obok artykułów zasadniczych: dział sprawozdawczy, przegląd prasy, kronikę, biuletyn Międzynarodowego Tow. Muzyki Współczesnej, oraz „Impresje muzyczne”, „Trybunę artystów”, „Krytykę krytyki” i „Pytania i odpowiedzi”.

MUZYKA daje na swych szpaltach dokładne odbicie życia muzycznego w kraju i zagranicą.

MUZYKA daje w licznych dodatkach ilustrowanych bogatą kronikę ilustrowaną ruchu muzycznego Europy i Ameryki.

MUZYKA daje w dodatkach nutowych najwybitniejsze utwory znanych kompozytorów polskich, dotąd jeszcze nie wydane.

Okładka i ozdoby graficzne Z. Stryjeńskiej, Wł. Skoczylasa, J. Zaruby i inn.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Kapucyńska 13, tel. 406-50

Konto czekowe w P. K. O. 96.38

Grudniowy zeszyt MUZYKI zawiera m. in. następujące artykuły:  
MAITIA BATTISTINI. Wspomnienia. MARJA LABIA. Na grób Pucinięgo.  
EMIL MŁYNARSKI. U źródeł przesilenia operowego, ADOLF WEISSMANN.  
Międzynarodowe Towarzystwo Muzyki Współczesnej. ŁUCJAN KAMIENSKI.  
„Legenda Bałtyku” F. Nowowiejskiego.

W dziale bieżącym artykuły i sprawozdania: A. Cocurcy (Paryż), dr. F. Leichtenritta, prof. dr. A. Chybińskiego, M. Glińskiego i in. W „Trybunie artystów” — „O mej inscenizacji „Carmen” w Teatrze Wielkim” A. Popławskiego. Numer zdobiał liczne ilustracje w tekście oraz dwa dodatki ilustracyjne.

W dodatku nutowym — „PRELUDE” Ludomira Różyckiego.

60 stron. — Cena 1 złoty.

Żądać we wszystkich księgarniach i kioskach.

Stali prenumeratorzy „Wiadomości Literackich” uskuteczniacy

prenumeratę „Muzyki” przez administrację „Wiadomości”,

korzystają z 25% opustu.

## Nagrody wydawców za rok 1924 otrzymali

Jarosław Iwaszkiewicz

Jan Lechoń

Kazimierz Wierzyński



DIONIZJE. Poezje . . . . .	1.60	KARMAZYNOWY POEMAT. Poezje	1.60	PAMIĘTNIK MIŁOŚCI. Poezje (w druku)	
HILARY, SYN BUCHALTERA. Powieść . . . . .	3.50	RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA. Satyry . . . . .	2.—	WIELKA NIEDŹWIEDZICA. Poezje	2.60
LEGENDY I DEMETER. Opowia- dania . . . . .	2.—	SREBRNE I CZARNE. Poezje . . .	4.—	WIOSNA I WINO. Poezje . . . . .	2.40
UCIECZKA DO BAGDADU. Po- wieść . . . . .	2.40			WRÓBLE NA DACHU. Poezje (wyczerpane)	

Nakład Tow. Wydawniczego „IGNIS” (E. Wende i S-ka),  
Krakowskie Przedmieście 9

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 sznalc 30 groszów za tekstem; 50 groszów w tekście; drobne 5 groszów za słowo. Kolumna posiada 6 sznalc. REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 225-04, codziennie z wylatkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Redaktor: MIECZYŚLAW GRYZDEWSKI. Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI.